Nr. 18 (455). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 29 kwietnia 1933. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok X.

ŚWIATOWID

WARA OD POLSKICH GRANIC!



Niemieckie zakusy na polskie granice spotkały się z energicznym protestem całego kraju, czego wyrazem były zebrania i manifestacje patrjotyczne, które żywiołowo objęły całą Polskę, a zwłaszcza ziemie zachodnie. Na zdjęciu delegacja górali, składająca wieniec na grobie pierwszych Powstańców wielkopolskich, na cmentarzu w Goreczynie. Górale ci przybyli do Poznania na zaproszenie Związku Strzeleckiego. Ag. fot. „Światowid".

NIEMCY CIĄGLE GORĄCZKUJĄ...



Dzień imienin Hitlera (20-go kwietnia) był w całych Niemczech obchodzony jako święto narodowe. Przez ulice przeciągały oddziały brunatnych koszul, witane entuzjastycznie przez tłumy. W Berlinie zorganizowano w tym dniu wydawanie żywności i ubrań dla bezrobotnych. Niezliczoną ilość placów i ulic ochrzczono nazwiskiem popularnego Adolfa. Zasadzono także mnóstwo drzew pamiątkowych i dokonano otwarcia wielu instytucyj, zostających pod patronatem Hitlera. Na zdjęciu uroczystości na stadjonie Lichterfelde pod Berlinem, który nazwano teraz placem sportowym Adolfa Hitlera. W pośrodku widoczne świeżo zasadzone drzewko.

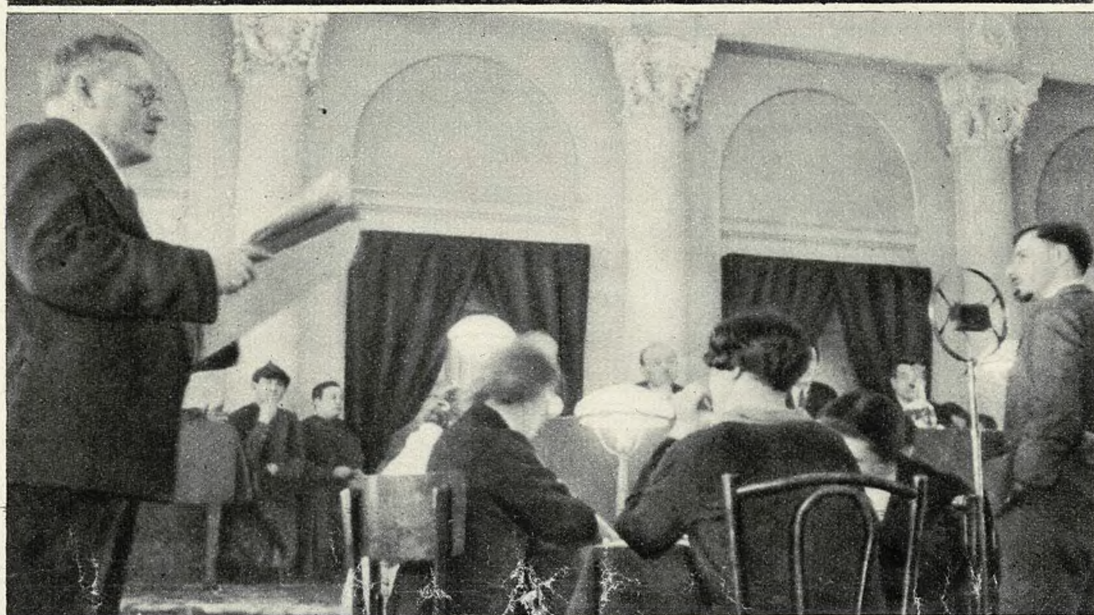
The New York Times.

SĄD DORAŹNY W TORUNIU.



W Toruniu przed sądem doraźnym stawał Edward Mossakowski, który przed kilku tygodniami w mieszkaniu swojem zamordował listonosza, zrabowawszy mu kilka tysięcy złotych, a następnie zbiegł do Poznania, gdzie widząc, że jest śledzony, usiłował popełnić samobójstwo przez przecięcie żył. Sąd skazał go na karę śmierci przez powieszenie, a ponieważ p. Prezydent Rzplitej nie skorzystał z prawa łaski, wyrok został wykonany w ubiegłą sobotę przez kata Brauna. Na zdjęciu Mosakowski (z ręką na temblaku) w drodze z więzienia do sali sądowej.

SENSACYJNY PROCES W MOSKWIE.



Główny oskarżony inż. angielski Mac Donald (na prawo przy mikrofonie) w czasie przesłuchania przez prokuratora Wiszyńskiego. „Unionbild".



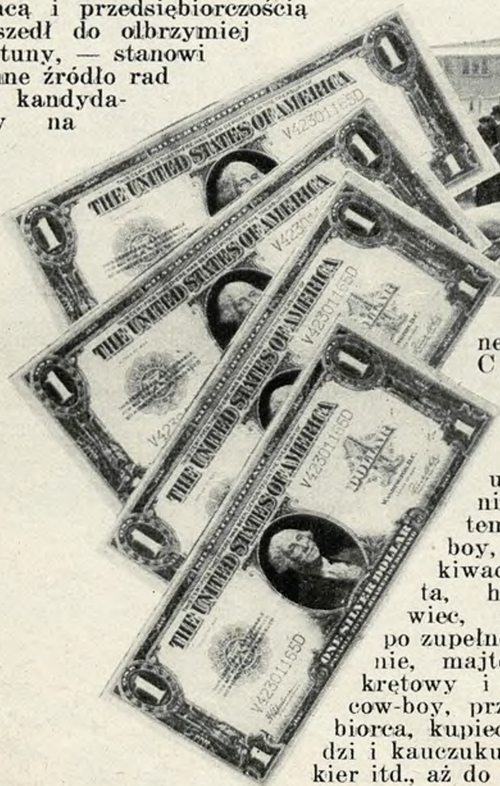
Jeden z oskarżonych inżynier Nortwall z żoną w bufecie na dworcu warszawskim po powrocie z Sowietów.

Przed Najwyższym Sądem w Moskwie toczył się proces o szpiegostwo i sabotaż przeciwko kilku inżynierom angielskim z firmy Vickersa, która budowała dla Sowietów szereg gigantycznych elektrowni i zakładów przemysłowych. Inżynierów angielskich spotkała stosunkowo łagodna kara, gdyż zostali oni częścią uwolnieni, częścią zaś skazani na kilka lat więzienia, względnie na wydalenie z granic państwa. W obronie inżynierów stanął energicznie rząd angielski, który na znak protestu odwołał swojego przedstawiciela z Moskwy, zerwał stosunki handlowe z Sowietami i zagroził najostrzejszemi represjami natury politycznej i handlowej. To też Sowiety nie chcąc przeciągać struny, zgodziły się natychmiast po procesie na wyjazd inżynierów do Anglji. W tych dnach minęli oni granicę polską, witani przez specjalnych wysłanników pism angielskich i polskich. Główny oskarżony Mac Donald pozostał w więzieniu.

JAK SIĘ ROBI MILJONY...

Żeby mieć pieniądze - trzeba mieć... pieniądze.

Karjera James Claysona.



Znany, choć nieżyjący już multimiljoner australijski Clayson wyłożył swoje poglądy na sprawę robienia miljonów w książce: Sto i jeden sposobów zrobienia majątku. Ta książka pisana przez człowieka, który własną pracą i przedsiębiorczością doszedł do olbrzymiej fortuny, — stanowi cenne źródło rad dla kandydatów na miljonerów. Clayson w młodości ulicznik, potem cowboy, poszukiwacz złota, handlowiec, potem po zupełnej ruinie, majtek okrętowy i znów cow-boy, przedsiębiorca, kupiec miedzi i kauczuku, bankier itd., aż do miljonów, mnożących się automatycznie — radzi w swojej książce nic innego, jak to, o czem każdy z nas wie doskonale. Zaleca on wytrwałość w dążeniu do celu, radzi pracować zajadle, być skromnym, oszczędzać, aby pomnażać kapitał, radzi być rzutkim, energicznym, obrotnym, a że te wywody popiera wielkiem doświadczeniem, no i wspaniałemi rezultatami — możemy wierzyć, że jego rady są rzeczywiście skuteczne.

Ktoś słusznie powiedział, że „aby mieć pieniądze — trzeba mieć pieniądze". Oczywiście, co pomoże dzielność i przedsiębiorczość, gdy niema się o co rąk zaczepić. Trzeba mieć pierwszy kapitalik zakładowy, aby móc coś na własną rękę rozpocząć. Taki fundusz zakładowy u człowieka pracy może powstać jedynie z oszczędności. Kto posiada książeczkę oszczędnościową P. K. O., ten jest na dobrej drodze. Zaprowadzi go ona wcześniej czy później do dobrych rezultatów. Jeżeli taki kandydat do dobrobytu zdobędzie dzięki oszczędności kapitał zakładowy, a jeśli jest przytem człowiekiem z głową otwartą, jeżeli potrafi pracować i ma silną wolę zdobycia poważnych rezultatów, ten napewno zamierzenia swoje osiągnie, dorobi się i będzie miał życie spokojne i wygodne.

Ale w każdym razie trzeba zacząć od książeczki P. K. O., bo „żeby mieć pieniądze, trzeba mieć... pieniądze!"

NA PROGU SEZONU RYBACKIEGO.

Dunajec w pobliżu Czchowa.

— Warjat, z mokrą głową — ryczące ze śmiechu wskazywałem na manjaka, tkwiącego bez ruchu nad Dunajcem — tylko warjat może przesiadywać godzinami nad rzeką, chluptać się w wodzie ze ślepiami wbitemi jak sroka w kość, lub łazić z miejsca na miejsce i machać wędziskiem jak biczyskiem. Ratujcie, trzymajcie, oszalałbym. Za żadne skarby nie chcę być biczownikiem wody. Że też takiego cholera z nudów nie zatłucze.

Za te obelgi los zemścił się srodze. Widocznie wędkarze są za pan brat z bogami od zemsty i dosięgną każdego zatwardziałego grzesznika, który śmie im urągać.

Jak się to stało, że pewnego dnia znalazłem się z wędką nad Dunajcem, tego sam nie wiem. Dość, że oszalałem. A jaki był początek tego najmilszego szaleństwa będę usiłował opowiedzieć. A no było tak: Komuś poskarżyłem się, że coś kiepsko z nerwami. Chore nerwy? — ów jegomość zakrzyknął — ależ najcudowniejsze lekarstwo, to wędka i nad wodę. — „Głupota. — odrzekłem — Jak mnie przywiążą linkami, albo przybiją gwoździami do brzegu, to może będę stał pół godziny na miejscu. Nie ręczę za dłuższy czas". — Co to szkodzi spróbować — cierpliwie namawiał mnie ów przygodny lekarz, doradzający bezpłatne lekarstwo. — No spróbuję, ale powiadam będzie to bezcelowe, chwili nie ustanę, zdaje mi się, że ogień pali mi się pod stopami. — Pukałem się w czoło — nonsens, gdzieby to pomogło?

List do Tow. wędkarskiego i otrzymałem pozwolenie. Nie wiedzieć kiedy znalazłem się nad Dunajcem i nie wiedzieć kiedy stałem się wściekłym biczownikiem niewinnej wody. Niezmordowanie rzucałem wędkę w błyski fal, w plusk prądu, ciągnąłem muszkę po powierzchni, czasem podrywałem, aby dać złudzenie, że to prawdziwa muszka unosi się, opada, znów ulatuje do góry, śledziłem jej drgnienia, myśląc w swej naiwności, że przecież jakiś pstrąg w zaślepieniu da się nabrać i weźmie oszukańczą przynętę za prawdziwą, życiodajną. Muszę wyznać otwarcie, że takiego głupca nie znalazłem na przestrzeni całego Dunajca, chociaż ta rzeka dostatecznie jest długa, szeroka i głęboka.

W tem niespodziewanie skądś góral wylazł, jakby się wynurzył nie z wikliny, ale z ziemi. Stanął obok, w milczeniu śledził wysiłki uwieńczone przekleństwami, które tak łatwo i w takiej ilości się rodziły. Słowem się nie odzywał, aby nie przerwać obrzędu. Tylko w twarzy można było dość łatwo zauważyć drwiący wyraz. Co oznaczał? nie wiem. Myślałem, że parsknie śmiechem patrząc na kij bambusowy i na korbkę.

— E tyle tego wszyćkiego, a jo weznę kawałek patyka, trochę sznurka i dylego pstrąga wyciągnę — machnął ręką do łokcia. Patrzył, widziałem, że djabli go brali, ramie jego niecierpliwie zrywało się, w całem ciele znać było, że bierze udział w łowieniu. Widząc moje partactwo zaczął radzić:

— Rzucajcie sobie o tak, o tak, pstrązek nie w samem bystrem prądzie siedzi, ino na boku warkoca i hań najłatwiej można go złapić, dejcie no te groty, pokazę...

— Jakże wam dać, kiedy nie wolno.

— A no to wiedzieli komu dać, nie zrobicie krzywdy rybom — niezrazony pouczał mnie — pstrąg choć wielki, ale szarpie tak leciusko jak szczeble i myslisz że to mały. Trzeba mieć czucie w ręce, prędkość, a rozum w ocach.

— Ponizy obertadła, gdzie lijek jest, tam są łososie.

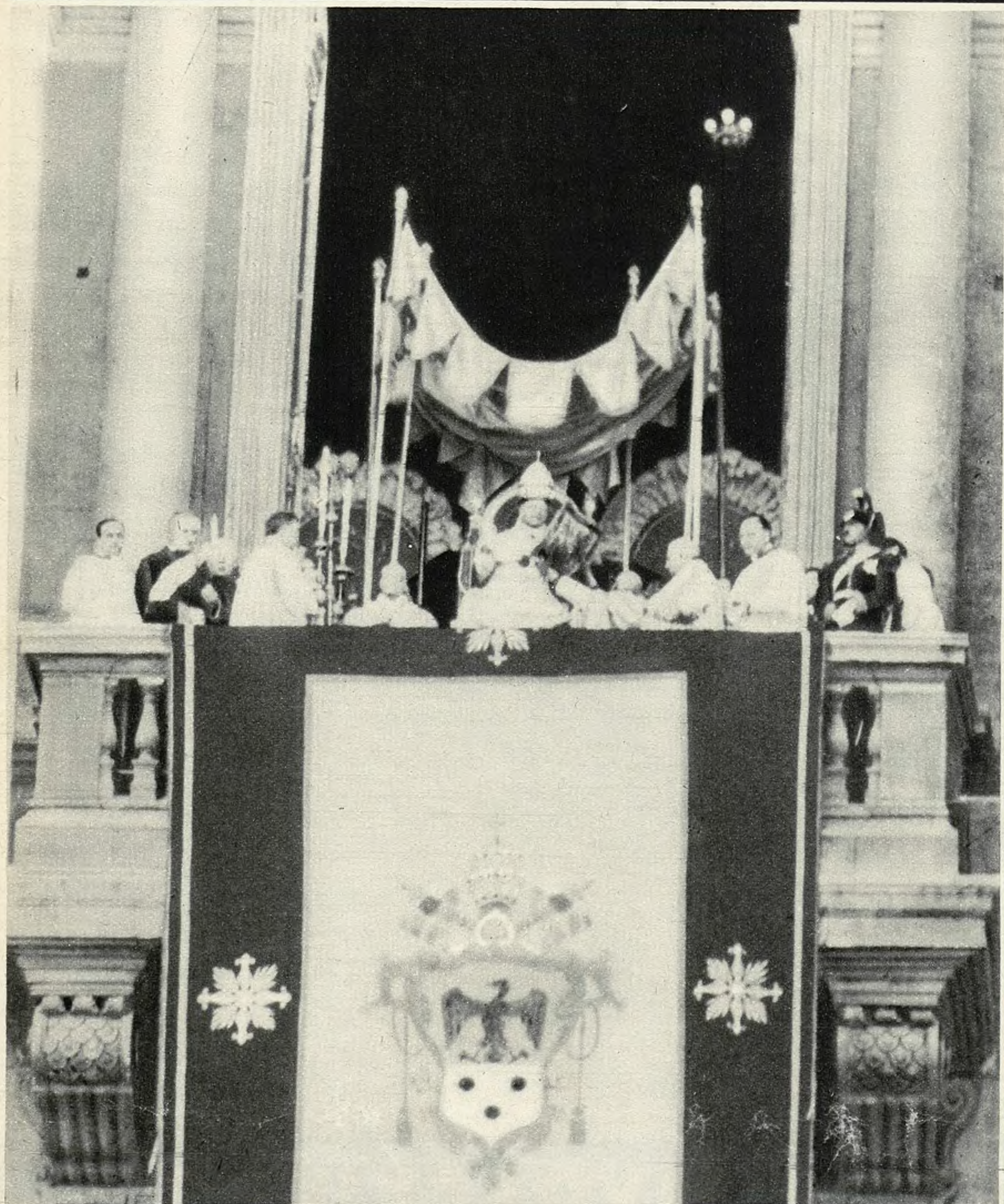
Przebiegł strażnik, ścigając chłopaków łowiących ryby ręką między kamieniami. Chłop wspiął się śledził chwilę, wkońcu odtechnął z ulgą.

— O mos zarazo, zaroz chycis, che, che, w pazdury ci sami wlizą, akuracik. Jezu ryb nie wolno łapać. Od kiedy to? Dziecko moczy nitkę w wodzie i zaraz ziandor go ścigo. To on jest od tego? dzieci ścigać? Pan Bóg stworzył ryby lo wszyćkich, a człowiek sprzeciwio się woli bożej i zakazuje. — Wszyćko się psuje i tardze na świecie. Dzisiaj ochrona jest, ale ryb nima, bo Pan Bóg nie da.

Ale za to jest nowy sezon, a to grunt... sezon 1933.

Jan Wiktor (Szczawnica).

URBI ET ORBI.



W niedzielę wielkanocną przy pięknej pogodzie zgromadziło się na placu Św. Piotra w Rzymie około 250.000 ludzi w oczekiwaniu na błogosławieństwo papieskie. Ojciec św., odprawiwszy Mszę pontyfikalną, ukazał się na balkonie (na zdjęciu) i udzielił błogosławieństwa apostolskiego. Fakt ten miał miejsce po raz pierwszy od r. 1878, po zniesieniu bowiem państwa kościelnego, papieże na znak protestu, nie opuszczali apartamentów watykańskich.

ZGON ARCYBISKUPA WAŁĘGI.



W klasztorze OO. Redemptorystów w Tuchowie (woj. krakowskie) zmarł w 75-tym roku życia śp. ks. arcybiskup dr. Leon Wałęga — ordynarjusz tarnowski. Zmarły Książę Kościoła, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli Episkopatu polskiego, otoczony był powszechną czcią dzięki świątobliwości swego życia i niestrudzonej pracy dla dobra powierzonej Mu przez Stolicę Apostolską djecezji. Rządząc nią długi czas śp. ks. arcybiskup Wałęga, przyczynił się w wydatny sposób do zorganizowania wielu instytucyj, mających na celu krzewienie wykształcenia wśród duchowieństwa, a wzmocnienie pobożności wśród wiernych Ziemi Tarnowskiej. Swego czasu, spełniając swój arcypasterski obowiązek, przeciwdziałał energicznie prądom radykalnym wśród ludności wiejskiej diecezji tarnowskiej i popierał organizację stronnictwa kat.-lud. Po 50 latach kapłaństwa — a 30-tu biskupstwa, za zezwoleniem Ojca św. złożył rządy diecezji, żegnając się ze swoimi owieczkami w liście pasterskim, który prostotą i rzewnością silne wywołał i poza ich kręgiem wrażenie. Usunął się do zacisza klasztornego w Tuchowie, gdzie wkrótce skołatany wiekiem i pracą zasnął w Panu. Następcą jego w diecezji tarnowskiej został, jak wiadomo ks. biskup Lisowski.

Z WYSTAWY AUGUSTA II. W DREŹNIE.



W związku z 200-leciem śmierci Augusta II, elektora saskiego i króla polskiego, otwarto w Dreźnie wystawę pod nazwą: „August Mocny i jego czasy", która daje przegląd panowania tego króla. Wystawa naprawdę jest imponująca, a eksponaty wypełniają 40 dużych sal w zamku. Oczywiście co krok widzi się zabytki sztuki i portrety, mające związek z Polską. Na zdjęciu wielki srebrny bufet Augusta II. Wystawione tu naczynia są srebrne, pozłacane, i ozdobione herbami polskiemi.

NĘDZA W BUDAPESZCIE.



Sytuacja na Węgrzech jest krytyczna. Kraj ten bowiem nawskróś rolniczy, nie może znaleźć rynków zbytu dla swego zboża, bydła, a także wina, które sprzedaje się tam po śmiesznie niskich cenach. To też nędza zarówno na wsi, jak i w miastach jest bardzo wielka. W samym np. Budapeszcie jest wolnych około 10.000 mieszkań, gdyż nikt nie może płacić nawet względnie niskiego komornego. Z drugiej strony znowu jest tysiące ludzi, w całem tego słowa znaczeniu bezdomnych, którzy noce spędzają na ulicach, a za dnia żebrzą, stając się plagą stolicy Węgier. Na zdjęciu bezrobotni w przytułku dla bezdomnych. Większość z nich nie ma nawet butów, zadowolona jest jednak, że noc może przepędzić w zamkniętym lokalu — drzemiąc pod ścianą, lub na podłodze.

JA WOLĘ CÓRKĘ...

Ubiegły tydziej procesu Gorgonowej stał pod znakiem biegłych i krwi.

Dowiedzieliśmy się wielu ciekawych właściwości krwi — raz plami ona ściany i chustki — nie plami dżagana — ścina się w żyłach i strąca się w próbówkch. Wogóle krew, a raczej jej ślady, napsuły wiele krwi, zarówno biegłym, jak prokuratorowi i obrońcom.

Zwłaszcza obrona miała w ubiegłym tygodniu bardzo złą krew. Mówiono także o widmach. Na szczęście do tych widm nie powoływano biegłych w dziedzinie metapsychiki. Chodziło nietyle o widma krwawe, ile raczej o widma krwi.

Widma te różnią się tem od zjaw spirytystycznych, że powstają w promieniach słońca, które przeszedłszy przez odpowiedni roztwór, a następnie przez pryzmat, rysują na ekranie ślady wszystkiego, cokolwiek roztwór zawiera.

Ale te widma nie są łaskawe dla każdych oczu. Nie każdemu ze śmiertelnych chcą się pokazać. Tak przynajmniej wynikałoby z wynurzeń biegłych warszawskich. Mimo usilnych starań z ich strony, mimo całego ceremonjału naukowego, przepisanego dla wywołania widma krwi przeróżnemi metodami fizykochemicznemi, nie dostrzegli ani śladu widm.

Oko uczonego krakowskiego było bardziej wnikliwem. Idąc ścisłą drogą naukowego badania, potrafił prof. dr. Olbrycht wywołać efekt widma, szukając go w sferze niewidzialnej dla oka części rozczepionych przez pryzmat promieni słonecznych — w sferze ultrafioletu.

Powstał spór o metody, o sposoby badań, o wnioski wyciągane z wyników, przeprowadzanych eksperymentów. Sala sądowa przemieniła się w jakieś naukowe laboratorjum, gdzie przed oczyma aeropagu na stołach rozstawiono mikroskopy, mikrospektroskopy, próbówki z krwią o różnych stężeniach, kawałki płótna z widocznemi i niewidocznemi śladami krwi, rozłożono folјały uczonych rozpraw, wśród których nie brakło i takiej która jeszcze do tej pory nie tknęła półek księgarskich.

Ostatnie dnie rozprawy przypominały żywo średniowieczne dysputy, w których nierzadko myśl organiczna gubiła się w labiryncie przeróżnych współczesnych sylogizmów.

Dochodziło do namiętnych starć i sporów, w których, rzecz oczywista, obrona wiodła prym. — Okazało się raz jeszcze, że najbieglejszymi z biegłych są jednak obrońcy. Byliśmy świadkami dziwnego paradoksu. Przed sądem stanęli uczeni profesorowie i wygłaszali długie, uczone wykłady o najnowszych wynikach badań krwi, o wielce czułych metodach tych badań, o ich niezawodności i t. d.

Po skończeniu wykładu każdy z tych uczonych spadał do roli ucznia egzaminowanego szczegółowo z przedmiotu przed chwilą wyłożonego i to egzaminowanego przez ludzi, którzy w życiu codziennem może nawet nie pomyśleli o zagadnieniach, w sprawie których rzucali biegłym pytania.

Szkoła krakowska wychodziła zwycięsko z tych retorycznych i djalektycznych starć. Pewny swoich wyników badań i opartych o nie wniosków, prof. dr. Olbrycht, bez specjalnego wysiłku osadzał na miejscu wszelkie przeciwko niemu skierowane ataki.

Rzadko kiedy zapuszczał się w teorje — stawiał sprawy aksjomatycznie. O ile wygłaszał jakąś prawdopodobną tezę, to czynił to tylko w tym wypadku, kiedy sam bezpośrednio badań nie przeprowadzał, a wnioski musiał budować na relacjach innych.

Mówiło się także na sali komplementy i o komplementach. Padały wzajemne komplementy z ust biegłych w stronę przeciwników tej, czy innej w danej chwili reprezentowanej przez nich tezy. Prawił komplementy prof. dr. Hirszfeld profesorowi dr. Olbrychtowi, prof. Olbrycht nie pozostawał dłużny. Padały komplementy z ławy obrońców w stronę dra Jankowskiego, a ten odpowiedział klasycznym dla tej sprawy zwrotem: „Psychjatrja się nigdy nie obraża". Padały też komplementy niezbyt dworskie — jak zwykle namiętnej pogwarki.

Ale mówiono także o innych komplementach — o komplementach krwi, ale te dla laików są już naprawdę nic nie mówiącem, kabalistycznem określeniem. Te komplementy krwi jednak, mimo całej swej dla niefachowców tajemniczości, zdają się być czemś czemś nader ważkiem dla sprawy. One to prowokowały komplementy słowne, które w różnej formie i z różną intencją padały na sądowej sali.

A te krwawe, czy krwiste komplementy, różnią się między sobą czułością (nie komplementu, ale metody).

Spór o metody i precyzyjność badania, rozanimował najbardziej inż. Żmigroda, dyrektora Państwowego Instytutu dla badania żywności w Warszawie. Dowiedzieliśmy się, że ten pan ma pieniędzy wbród, dowiedzieliśmy się, że ma najnowsze i najlepsze narzędzia badań — dowiedzieliśmy się także, że badaniami na temat widm i komplementów krwi, przeprowadzanemi w jego instytucie, mało się zajmował.

Chodziło także w wywodach warszawskiego inżyniera o trafność stosowania starej i nowej metodyki eksperymentu. I w tym uczonym dyskursie, doszliśmy do granic arcyciekawych, osobistych wynurzeń.

Dowiedzieliśmy się oto, że p. inż. Żmigród w wypadku, gdy chodzi o wybór między matką a córką — zawsze jednak woli córkę.

— Tak już bywa — mówił — jeden woli matkę, drugi woli córkę — ja wolę córkę...

Trudno nie przyznać warszawskiemu biegłemu racji.

Tylko rzecz w tem — czy ława przysięgłych będzie wolała matkę — starą macierz uniwersytecką Jagiellonów, czy młodą, nawet bardzo młodą jej córkę z Warszawy.

W każdym razie zadanie będzie miała bardzo trudne. Biegli mają bowiem to do siebie, że nawet najjaśniejsze sprawy zaciemniają całkowicie.

Zupełnie jak filozofowie, których najwybitniejszy przedstawiciel — Sokrates — zwykł był mawiać: „to wiem, że nic nie wiem".

Wszystko wskazuje na to, że po wywodach biegłych, sędziowie przysięgli zapiszą się bez zastrzeżeń na to wyznanie Sokratesowe.

Sam.

Biegły z Krakowa dr. Jankowski.

Prof. U. J. w Krakowie dr. Olbrycht.

Inż. Żmigród, rzeczoznawca-chemik z Warszawy.

Prof. Uniw. warszawskiego dr. Hirschfeld.



Ogólny widok Wilna.



Inspektor armji gen. Dąb-Biernacki dokonywa przeglądu oddziałów przed rewją — Za nim na białym koniu oswobodziciel Wilna płk. Belina-Prażmowski.

WIELKI DZIEŃ WILNA.

Groźne pomruki idące ku nam od naszego zachodniego sąsiada, hitlerowskie plany okrążenia Polski, napływające wiadomości o zbrojeniach się Niemiec i tajnych fortyfikacjach w Prusiech Wschodnich, przygotowywanych skrzętnie przy pomocy „bataljonów robotniczych“, do ataku na Polskę — wszystko to zbiegło się z 14-leciem odzyskania, miasta — jednego z najdroższych sercu Polaka — zdobycia przez armję polską Wilna.

I kiedy wzdłuż całego pogranicza Prus Wschodnich, opętane rewizjonistycznym szałem bojówki hitlerowskie, usiłowały prowokować majestał i powagę Rzplitej, kiedy w prasie niemieckiej wrzało od wściekłych ataków na Polskę, wtedy do Wilna zjechał Marszałek Piłsudski.

Miasto przystroiło się na gody rocznicy swego oswobodzenia odświętnie. Miasto gorzało od iluminacyjnych świateł, ponad któremi wystrzelały w niebo płonąca ogniami góra Trzech Krzyży i korona katedralnej wieży, jaśniejąca rubinami i brylantami czerwono-białych lampek.

Ludność, rozumiejąc doniosłość manifestacji, wystąpiła tłumnie, godnie i odświętnie na ulice.

Ulica Mickiewicza i Plac Łukijski przybrały wygląd wojennego obozu.

Na dzień 20 kwietnia spłynęły do Wilna pułki z Mołodeczna, Nidy, Białegostoku, Grodna, Grajewa, Nowej Wilejki — przybył także 1 p. szwoleżerów im. Józefa Piłsudskiego z Warszawy.

U wylotu ul. Ofiarnej ustawiono honorową trybunę, na której stanął Marszałek Józef Piłsudski, w otoczeniu członków rządu.

Na placu w miejscu stracenia Powstańców z roku 1863, przed ołtarzem polowym odprawił uroczyste nabożeństwo ks. biskup polowy Gawlina.

Obok p. Marszałka wzięła udział w uroczystościach p. Marszałkowa Piłsudska z obiema córkami.

Po nabożeństwie ruszyła pod dowództwem gen. Skwarczyńskiego chluba i potężna gwarancja całości Rzeczypospolitej — armja Polska do defilady przed p. Marszałkiem i reprezentantami rządu.

Za płk. Beliną-Prażmowskim, obecnym wojewodą lwowskim, który wiódł pułki kawalerji, jakie przed 14 laty wkroczyły do Wilna, płynęły zbrojne szeregi, manifestujące gotowość każdej chwili odparcia ataku na całość naszych granic, z jakiejkolwiekby strony ten atak przyszedł. Nad miastem krążyły żórawie samolotów wojskowych.

Wrażenie uroczystości wileńskich było głębokie.

Powszechną uwagę skupiła wokół siebie rzeźka i czerstwa postać Marszałka Piłsudskiego, który przybył z Warszawy do ukochanego Wilna, by swą obecnością nadać specjalnego charakteru uroczystościom.

Na tle rewizjonistycznej propagandy Niemiec, na tle niepoczytalnych hitlerowskich odruchów i niektórych wystąpień litewskich, uroczystości wileńskie urastają do rozmiarów symbolu.

Świadczą one o stanowisku narodu i rządu wobec gróźb, kierowanych przeciw całości państwa, świadczą o niezłomnej woli odparcia wszelkich zakusów na granice Rzeczypospolitej.

Wilno — drogocenny klejnot korony Rzeczypospolitej — miasto bohaterskie i miasto bohaterów, powagą swych manifestacyj 14-lecia oswobodzenia świadczyło wymownie, że gotowi jesteśmy w chwili każdego niebezpieczeństwa zdobyć się na zdecydowany, męski, bohaterski czyn.

A gwarancją tego czynu jest armja polska.

W. Db.



85-ty pułk piechoty, defilujący przed Marszałkiem Piłsudskim



Marszałek Piłsudski po defiladzie w rozmowie z gen. Dąb-Biernackim, gen. Przewłockim i gen. Litwinowiczem. Obok p. Marszałkowa Piłsudska z córkami.



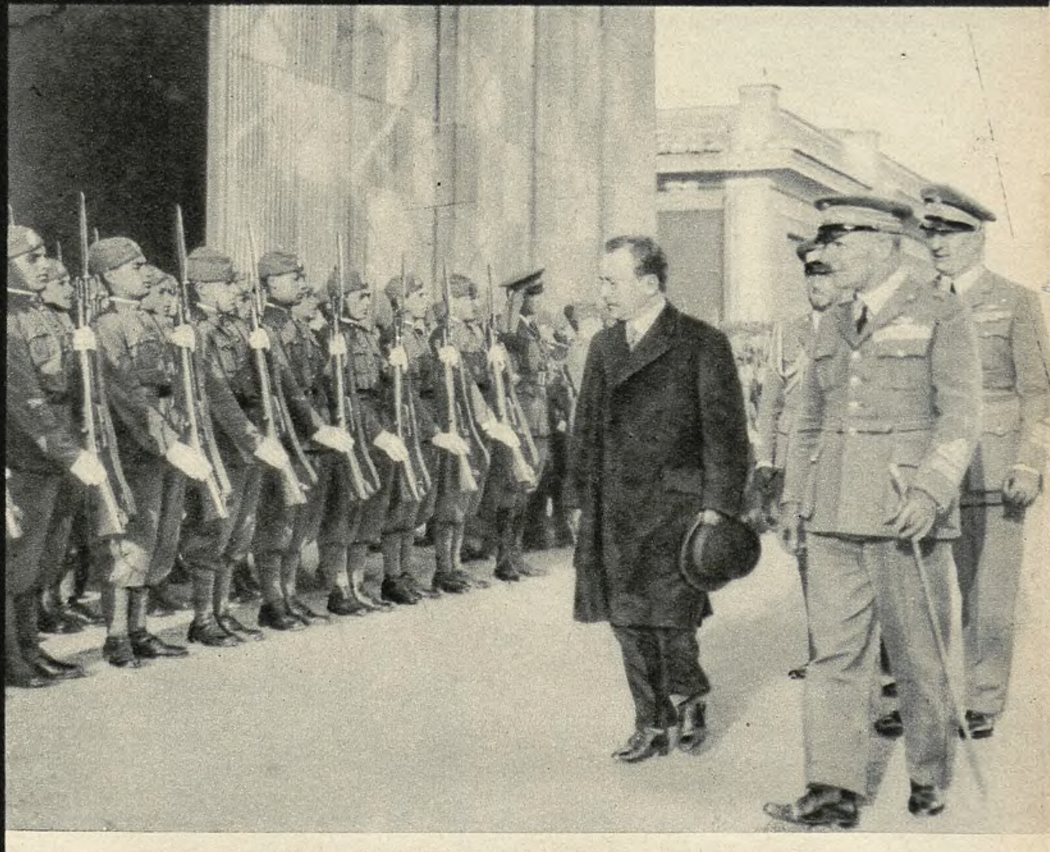
Grupa dostojników podczas Mszy polowej. W pierwszym rzędzie od lewej: pp. woj. Jaszczołt, premjer Prystor, gen. Przewłocki i gen. Orlicz-Dreszer. — W drugim rzędzie czwarta od lewej p. Marszałkowa Piłsudska z córkami Jagódką i Wandzią.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. W. PIKIEL — WARSZAWA.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



MINISTER MUSI MIEĆ SKRZYDŁA. Francuski minister lotnictwa Pierre Cot (na zdjęciu) złożył egzamin na pilota. Z początkiem maja wyruszy on na czele stu aeroplanów francuskich w podróż okrężną po wszystkich afrykańskich kolonjach francuskich. Będzie to gigantyczny lot grupowy, który przyćmi wielkością swoją wszystko, co dotychczas na tem polu było zrobione. *Keystone.*

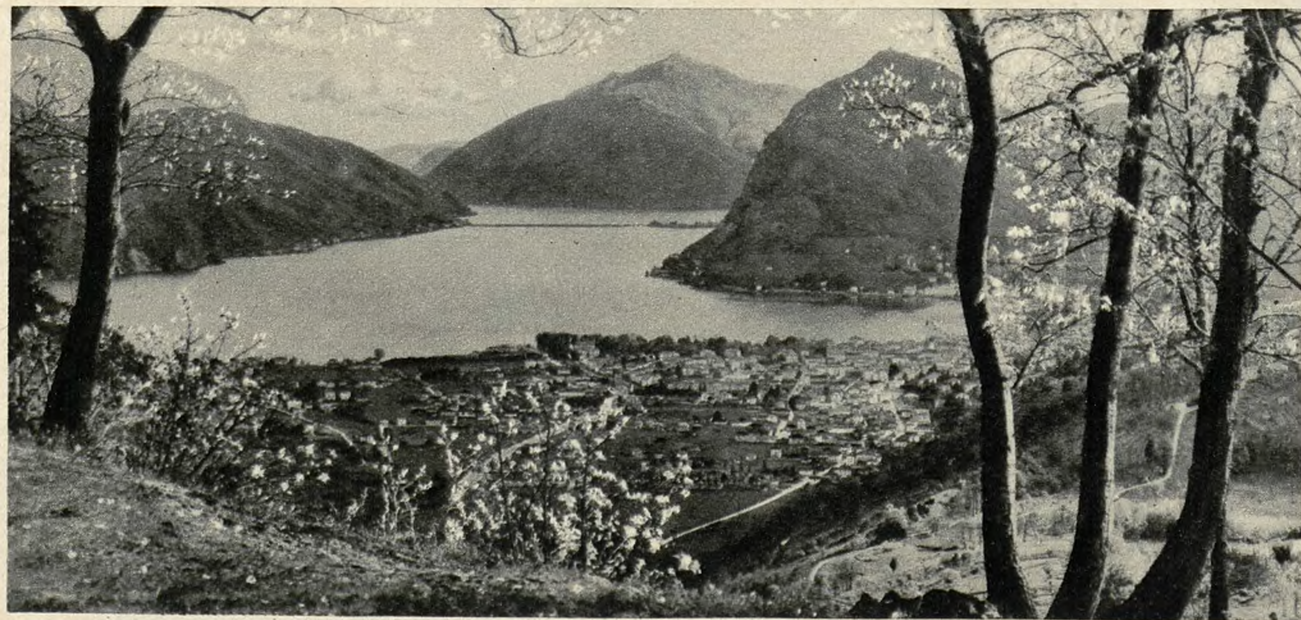


KANCLERZ AUSTRJACKI W KUŹNI RZYMSKIEJ. W Rzymie bawił kanclerz austrjacki Dollfuss (na zdjęciu), przyjmowany bardzo życzliwie, zarówno przez Stolicę Apostolską, jak i rząd włoski. — Z papieżem rozmawiał Dollfuss o konkordacie, z Mussolinim zaś o aktualnych sprawach politycznych. Kanclerz Dollfuss jako monarchista jest przeciwnikiem Anschlussu, w dziedzinie zaś wewnętrznej marzy o zlikwidowaniu socjalizmu i parlamentaryzmu.

WIOSNA W LUGANO.

Wiosna. Niby wiosna. Kalendarzowa, na papierze. W przyrodzie bowiem wyczyniają się dziwy niezbyt ciekawe. Kwiecień — plecień, przysłowiowy w Polsce miecie to śniegiem to deszczem, dmie ostrym wiatrem, uśmiecha się zwodniczo słońcem, co za chwilę zgaśnie za chmurami. A pod nogami — lepiej nie patrzeć! Błotna czekolada, woda, resztki brudnego śniegu. Jakieś fjołki i krokusy pojawiły się na cieplejszych polankach leśnych, jakiś wczesny skowronek zaśpiewał w bladym błękicie, — lecz te nastroje wiosenne rozwiewają się szybko na zimnym wietrze. Zanim doczekamy się prawdziwego ciepła, maja, słowików, bzów i kwiatów jabłoni, — przenieśmy się na chwilę myślą w szczęśliwsze krainy, gdzie nie znają kwietniowej szarugi.

Na dalekim południowym krańcu Szwajcarji drzemie przeniesiony żywcem z północy norweski fjord: jezioro Lugano, Wciśnięte między wyniosłe malownicze pagórki z dominującemi górami Monte san Salvatore i Monte Bre na czele, otoczone bogactwem południowej flory, opasane dookoła szeroką asfaltowaną szosą automobilową a groblą linji kolejowej na pół przecięte, kryje u północnych swych wybrzeży osadę Lugano. Dziwnie to uroczy zakątek, jednoczący w sobie piękno gór szwajcarskich i włoskich jezior. Nie pada tu nigdy śnieg ani nie wieje zimny wiatr, poza krótkim okresem jesiennej słoty przez cały rok ciepłe słońce przegląda się w falach jeziora i maluje złotym blaskiem kolorowe wille. Ulubiona przez turystów miejscowość, letnia stolica bogatych Szwajcarów, urządzona jest z komfortem prawdziwie europejskim. Hotele, kawiarnie, doskonałe drogi, kolejki górskie, autokary, statki, — wszystko stoi do usług letnikom, spragnionym słońca, pięknych widoków, winogron i kwiatów. Z pobliskich szczytów, na które wdzierają się kolejki, rozciąga się widok niezwykły na dalekie pasma Alp, na śnieżnego Gottharda, dumną Monte Rosę i sfalowane morze dalszych szczytów. Po jeziorze powycinanem dziwacznie, błękitnem, jak lazur, odbywają się cudowne przejażdżki statkami i łódkami. Szybkobieżne ekspresy rzucają się ciągle w czeluście tuneli, osiągając w 4 godziny Zürich, w pół godziny graniczne Chiasso. Osada Lugano o 20.000 stałych mieszkańców ma dużo charakteru włoskiego i rozbrzmiewa przeważnie włoskim językiem. Posiada muzeum, kino, trzy dzienniki. Łączy się cudownemi promenadami z pobliskiemi Paradiso, Cassarate, Castagnola. Zima tu łagodna, krótka, przypominająca nasz październik. Jesień pogodna, gorąca niemal, zachwycająca bogactwem owoców. Lato chłodne, miłe, pełne owoców i kwiatów. Lecz największy cud roztacza się tu z wczesną wiosną, gdy już w marcu całe Lugano zakwita jak jeden barwny bukiet kwiatów. Złocą się w ciepłem już słońcu pachnące forsycje i mimozy, cudowne białe kielichy rozchylają magnolje, olbrzymie fjołki pną się szerokiemi rabatami wokół will. Tu wczesne gatunki akacyj roztaczają nad samą wodą woń upojną, dalej bzy i czerwone kasztany obsypane kwieciem, różowe kity glicynij, chwiejące się w łagodnym powiewie. A nad temi bukietami kołyszą się smukłe palmy, olbrzymie drzewiaste tuje, eukaliptusy o białym pniu i oleandry, ciągną się żywopłoty z jakichś śródziemnomorskich pnączy i gęste połacie winnic obsypują się młodem listowiem.



Widok na jezioro Lugano (Szwajcarja).

Mewy, zimowi goście z wesołym okrzykiem odlatują na północ; za ciepło im już. Zbocza nadbrzeżnych pagórów zalewają się żywą zielenią. Tłumy zmęczonych zimą turystów z północy zapełniają luksusowe hotele. Lugano budzi się tak nagle z krótkiego zimowego snu, jak nagle wytryskują z gałązek pęki kwiecia, nie czekając na liście, – jak nagle wyskakuje słońce z nad przechylonej głowy Monte Bre. Wiosna, wiosna, i odrazu lato. Wkrótce za zalewem kwiecia przychodzi zalew owoców: wczesne jagody, wczesne gatunki winogron, napływ świeżych pomarańcz od Włoch. Używają letnicy na widokach, spacerach, najpiękniejszych żywych perfumach kwietnych, na krwistem Chianti, co leje się przy każdym najskromniejszym posiłku. I czekają, jak lada dzień rozwiną się migdałowe i pomarańczowe drzewa.

Lugano, Lugano! Piękna ta nazwa jest w tej chwili na ustach wszystkich mieszkańców Szwajcarji i wszystkich turystów, którzy choć raz widzieli ten cud wiosenny. Przepełnione pociągi wysypują ciągle nad brzegiem jeziora różnojęzyczną rzeszę, którą urzekł czar południowego słońca. Złotą powodzią zlewa się ono na kwietną oazę nad wodą i nie chowa się za chmury przez długie tygodnie. Góry, błękit jeziora, pachnący ogród kwiecia i szafir wiosennego nieba — czyż może być piękniejsze połączenie?

Marja Sandoz.



PRZED KONFLIKTEM SOWIECKO-JAPOŃSKIM. Stosunki pomiędzy Sowietami a Japonją zaostrzyły się bardzo w ostatnich czasach. Japonja bowiem, widząc bezsilność wielkich mocarstw, bez ceremonji zagarnia te terytorja, które jej są potrzebne dla zaokrąglenia granic Mandżurji. Obecnie zaś czyni wszystko, aby sparaliżować regularną komunikację kolei wschodnio-chińskiej na odcinku mandżurskim, która stanowi jedyne połączenie pomiędzy Rosją azjatycką a Władywostokiem. Niewątpliwie szykany te są wstępem do przejęcia kolei tej na rzecz Mandżurji. Krok ten oczywiście stanowiłby casus belli dla Sowietów, które też skoncentrowały na granicy Mandżurji silne oddziały wojskowe. Na zdjęciu posterunek czerwonej armji na punkcie granicznym w Mandżurji. *„Unionbild".*



Z HITLERYZOWANY BENZ. W Moguncji odsłonięto pomnik K. Benza, jednego z pierwszych pionierów automobilizmu. Założył on w 1883 roku firmę Benz, a w dwa lata później wypuścił pierwszy wóz motorowy. Mowcy, którzy przemawiali przy odsłonięciu pomnika, nie omieszkali zapisać K. Benza na rachunek Hitlera i uroczystość tę zamienić na wielkie święto brunatnych koszul (na zdjęciu). *Atlantic-Photo.*



SZCZĄTKI JESZCZE JEDNEGO OLBRZYMA. Spiesząc na pomoc sterowcowi „Akron" został porwany przez burzę i rzucony na morze ameryk. balon „J—3" (na zdjęciu). Ameryka jednak niezrażona temi katastrofami, w najbliższej przyszłości zamierza puścić w przestworza nowy statek powietrzny, którego można uważać za rodzonego brata „Akrona, a który nazwany został „Macon". *Wide World Photos, Paris.*



AMERYKA POD ZNAKIEM SZKLANKI PIWA. Z żywiołową radością powitano w Stanach Zjednoczonych Ameryki dzień 7 kwietnia br. Od tej pory bowiem wolno było publicznie szynkować piwo, tak jak przed 13-tu laty. Pito więc na umór (na zdjęciu), cieszac się, że koszmarne czasy prohibicji, które Amerykę kosztowały tyle ofiar, należą już do przeszłości.

9 MURZYNÓW NA ŚMIERĆ.

W Stanach Zjedn. A. P. obowiązuje wprawdzie konstytucja, która wszystkim obywatelom zapewnia równość — ale w praktyce pełne prawa mają tylko ludzie rasy białej, natomiast murzyni traktowani są, jak bydło. W pociągach, w tramwajach i na okrętach zarezerwowane są dla nich osobne miejsca, do niektórych lokali wstęp jest im bezwarunkowo wzbroniony. Łudziłby się ktoś także, sądząc, że sprawiedliwość istnieje dla murzynów. Wprost przeciwnie. Życie ich zależy niejednokrotnie od kaprysów tego, czy owego obywatela, względnie obywatelki. Wystarczy bowiem rzucić niebaczne podejrzenie na murzyna, choćby nawet nieprawdziwe, a sfanatyzowany tłum gotów jest przystąpić do egzekucji obwinionego, wieszając go na drzewie, lub na latarni. Te doraźne egzekucje odbywają się na podstawie t. zw. prawa Lyncha, sędziego, który w stanie Virginja żył w XVII w. i odznaczał się bezwzględnością w stosunku do zbrodniarzy.

Podobno Lynch za jakieć drobne przestępstwo skazał nawet własnego syna na szubienicę, a gdy nikt tego wyroku nie chciał wykonać — sam własnoręcznie go powiesił.

Dziś lynchem nazywa się samosąd tłumów nad przestępcą. — Ofiarami lynchu w Ameryce są prawie zawsze murzyni. Nielepszy jest także los murzynów, stawionych przed sądem. Mogą oni być pewni skazania na śmierć nawet w razie, gdyby nie było żadnych dowodów winy. — Taka właśnie sprawa toczyła się niedawno w sądzie apelacyjnym w Nowym Jorku przeciwko dziewięciu murzynom, którzy w miejscowości Scottsboro, mieli pohańbić dwie białe dziewczyny. Sąd pierwszej instancji skazał ich na śmierć, pomimo, że murzyni twierdzili, że są zupełnie niewinni — a śledztwo udowodniło, że rzekomo zgwałcone kobiety należały do półświatka i miały niejednokrotnie z sądami do czynienia za różne pospolite przestępstwa, jak kradzieże itd.

Sąd apelacyjny wyrok ten w tych dniach potwierdził, wywołując tem oburzenie całego cywilizowanego świata. Tak więc, jeżeli nie zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności, murzyni owi zostaną straceni na krześle elektrycznem. Jeszcze jeden to dowód, jak niesprawiedliwą jest niejednokrotnie t. zw. sprawiedliwość i jak wierutną jest bajka o równości wszystkich ludzi przed prawem.



Miss Wiktorja Price, główny świadek oskarżenia. Na niej to rzekomo murzyni mieli się dopuścić ohydnego gwałtu. Miss Price plątała się jednak w zeznaniach, przyznając się, że dziś z całą stanowczością nie może już rozpoznać napastników. The New York Times.



Główny oskarżony murzyn Patterson przed sądem. Trzyma on w ręku podkowę, jako talizman, który ma go bronić od złego. Niestety talizman ten nie odwrócił od Pattersona kary śmierci.

GIEŁDA OWADÓW.



Tłumy, zwiedzające wystawę owadów i motyli.
Fot. Z. Kluger

Raz do roku odbywa się na wiosnę w Berlinie targ na owady i motyle.

Berlin stanowi centrum dla handlu światowego owadami i motylami. Co roku na wiosnę odbywa się tu giełda na owady, przy udziale hurtowników i amatorów z całego świata. Widzi się więc tu okazy, kupowane na wagę złota, a pochodzące z wypraw, przedsiębranych do niedostępnych krajów tropikalnych, na niebosiężne szczyty Tybetu, a nawet w okolice podbiegunowe.

Cały przebarwny i przebogaty świat owadów jest tu reprezentowany. Część z tych okazów idzie do najrozmaitszych zbiorów przyrodniczych, uniwersyteckich i szkolnych, a część nabywają przeróżni amatorzy. — Manja bowiem zbierania owadów i motyli nie jest tylko chorobą uczniów gimnazjalnych, ale także często ludzi dorosłych, którzy niekiedy poświęcają olbrzymie sumy dla zdobycia rzadkich okazów. Snobizm i moda grają tu rolę pierwszorzędną, zupełnie, jak na giełdzie znaczków pocztowych.

Bardzo często przychodzi na giełdzie berlińskiej także do transakcji zamiennych. Ktoś np. z Europy zamienia jelonki na owady amerykańskie, a trupie główki na motyle z Tahiti.

Na podstawie tych wszystkich transakcji ustala się potem ceny rynkowe, które już z małemi zmianami obowiązują przez cały rok. **Pas.**

ŚWIĘTA W CZARNOHORZE.



Grupa narciarzy zdąża na Zaroślak.
Fot. Körner.



Święcone w Worochcie przy starej dzwonnicy.



Uczestnicy rajdu czekają na kolejkę leśną w Foreszczence. *Fot. Błaż.*



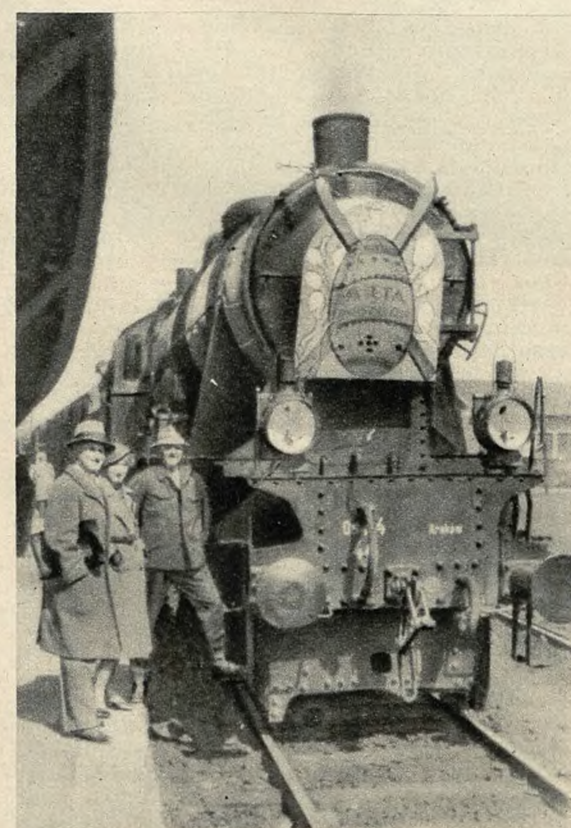
Howerla (2058 m) główny szczyt Czarnohory, najwyższe wzniesienie Karpat. *Fot. Schenkelbach.*

Zacytuję ostatni wiersz Jana Sinalci z „Wróbli na Dachu“.

Święta? Ba i owszem.
Wielkość, radość sączą,
Lecz w tem najmorowsze,
Że się wreszcie... kończą!

Z tą pointą nie mogą się jednak zgodzić uczestnicy rajdu świątecznego do Czarnohory. Jaka szkoda, że się święta kończą — wołali zapaleni narciarze z Katowic, Krakowa, Tarnowa, Lwowa, wyjeżdżając w zaróżowionych humorach z Worochty. Ruchliwa krakowska dyrekcja kolei i Tow. Krzewienia Narc., chcąc uprzyjemnić już nielicznym zapalonym narciarzom święta, uruchomiła specjalny pociąg bridżowo-nartowy do Czarnohory. Z błyskawiczną chyżością w ciągu 11-tu godzin pożeraliśmy setki kilometrów, kierując się w krainę baśni śnieżnej. Po paru godzinach, za nami pozostały wieżyce Lwowa i kopiec Unji Lubelskiej. Przecinamy niż naddniestrzański, poczem wpadamy w wijącą się dolinę Prutu. Wyrastające jakby z pod ziemi góry przeszywamy nawylot. Tunel za tunelem. Pozostają za nami jedynie pełzające z otworów lochów białe wstęgi dymu. Rozrzucone nad Prutem wiadukty, mijamy z wyjątkową chyżością. Oddech górskiej maszyny dolatuje nawet do zamkniętych przedziałów, w których rozbawieni narciarze licytują ostatnie piki. Jeszcze ostatni rober — pas — i Worochta! Wyglądamy przez okno. Stacja przybrana zielenią, jak również i sąsiednie góry.

— Gdzie jest śnieg? Gdzie śnieg? — wołamy. Uspakaja nas niezmordowany kierownik wycieczki insp. Szelichowski: Że był i to jeszcze wczoraj, tylko znikł jak ślady stóp Gorgonowej, ale na Zaroślaku to jeszcze dochodził do pół metra. — Pierwsze zdenerwowanie mija szybko. — Ranek Wielkiej Soboty. Wzdłuż toru kolejowego w kierunku Foreszczenki ciągnie się długi wąż narciarzy. Po paru minutach dochodzimy do „dworca“, kolejki leśnej. Kilka małych wagoników i jedna maszynka przypominająca „prymus“, gwizda, śwista, przebiera kółkami w miejscu, wreszcie rusza, pnąc się serpentynami w kierunku Foreszczenki. Dla ułatwienia tej „biduli“, większa część pasażerów zsiada z kozłów drzewnych — popychając kolejkę. Z szybkością 6 km. na godzinę, dojeżdżamy do końcowej stacji. Olbrzymie stosy drzewa zasłaniają stację, której nie było i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Po przeszło godzinnym marszu dochodzimy do schroniska na Zaroślaku. Śnieg zwyżkuje! Po zaciętej walce o herbatę w schronisku, maszerujemy w kierunku Howerli. Najwyższy ten szczyt Karpat (2.058 m.) jakby babka wielkanocna, polukrowana śnieżnym pyłem, góruje nad Pożyżewską, Kozłami pod Turkułem. Gdzieniegdzie dostrzegamy dawne okopy austrjackie z czasów wojny światowej, niezliczone linje drutów kolczastych, oraz schrony na amunicję. Po paru godzinach podchodzimy pod szczyt Howerli, jednak szalona wichura i szreń, mniej wprawnym narciarzom przeszkadzają pokonać w tak krótkim czasie ten karpacki Mount Everest!



Dnia 14 b. m. wyruszył specjalny pociąg z Krakowa do Worochty (woj. Stanisławowskie), wiozący uczestników rajdu świątecznego na ośnieżone szczyty Czarnohory.

— Wracamy! Kolejka nam zwieje! — woła jeden z przewodników. Zawracamy. Mijamy schronisko i długim holwegiem z zawrotną szybkością, wymijając jeszcze nienaruszone siekierą huculą — drzewa, zjeżdżamy do kolejki. Mistrzowski gwizd na palcach kierownika pociągu i długi ten ślimak na kółkach posuwa się już z nieco większą chyżością, bo z góry, ku Worochcie. Zgrzyt hamowanych kół zagłusza nawoływania konduktora: „Nie wychylać się!“ Jesteśmy już w domu.

Podobnie mija dzień drugi i trzeci. Boskie niebo wysypuje zwały alabastrowego puchu. Zmęczeni pierwszą wycieczką pozostajemy w Worochcie. Mniej sfatygowani o godz. 6-tej rano dążą do cerkwi greckokatolickiej na rezurekcję. Na tle pięknej świątyni przewijają się barwne stroje huculów. W trzech rzędach ustawione koszyki, pełne szynek, kiełbas, misternych pisanek, dodają ślinki naszym narciarzom. Dźwięk dzwonów przerywa od czasu do czasu głos popa z świątyni: „Ałełuja, Ałełuja! Pomolim sia!“ Zaimprowizowane święcone w największym pensjonacie Worochty „Skarbówce“, pozostawia wycieczkowicom niezatarte wspomnienia. Zbliża się odjazd. Okrzyki „Hules, Hules!“, towarzyszące każdemu odjeżdżającemu pociągowi, dolatują może — aż do Howerli! Mijamy Delatyn, Stanisławów. Lwów przy dźwiękach jazzbandu szaleje. Jeszcze parę minut i mili Lwowiacy żegnają nas. Promienie słońca już wdarły się do wozu restauracyjnego, a dancing trwał jeszcze...

A. Wasilewski.

TRAGEDJA NA GANKU.



Dr. Kazimierz Piotrowski (x) przemawia nad otwartą mogiłą śp. Birkenmajera w imieniu Klubu Wysokogórskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Fot. Serafin — Zakopane.



Śp. prof. Wincenty Birkenmajer, który zginął tragiczną śmiercią w czasie wyprawy na Ganek w Tatrach, w dniu 17. IV. 1933. Należał on do najwybitniejszych taterników polskich. Pochodził z Czernichowa pod Krakowem, gdzie urodził się 29. VI. 1899. Od trzecy lat przebywał w Poznaniu jako profesor gimnazjum im. Paderewskiego. Był z zawodu polonistą.



Słynna galerja Gankowa, na której zginął z wycieńczenia ś. p. prof. Birkenmajer.

Nad przepięknemi dolinami Kaczą i Czeską trzyma straż potężny, imponujący masyw Ganku. Wyniosły jego szczyt, 2.645 m. wysoki, opada w dół litemi ścianami zszarpanemi graniami, pooddzielanemi czeluściami czarnych żlebów. Tatrzański ten potentat mimo sąsiedztwa śmiałych szczytów Gierlachu i Wysokiej dominuje majestatycznie nad uroczym zakątkiem doliny Białej Wody: nastrojową Polaną pod Wysoką. Dziki, śmiały, piękny to szczyt. Przyrodni jego braciszek, Ganek Mały, jest przytem curiosum świata tatrzańskiego: 0.180 metrów poniżej jego wierzchołka, liczącego 2.425 m, mieści się oryginalny, olbrzymi, rumowiskiem zasypany taras, zwany Galerją Gankową, urywający się nagle pionową, zuchwałą, 300-metrową ścianą.

Bogato rzeźbiony masyw-kolos Ganku ciągnął oddawna rzesze turystów, a zwłaszcza wytrawniejszych taterników. Jego ściany i granie dawały możność uprawiania ciekawych wspinaczek przy niezwykle pięknych widokach. Na straszliwe zerwy Galerji Gankowej wdzierał się już cały szereg zasłużonych i wytrawnych miłośników Tatr. Olbrzymia 700-metrowa wschodnia jego ściana, opadająca do dol. Kaczej została również dwukrotnie zdobyta, pierwszy raz przez niezapomnianego taternika śp. Mieczysława Świerza w tow. księdza Jana Humpoli.

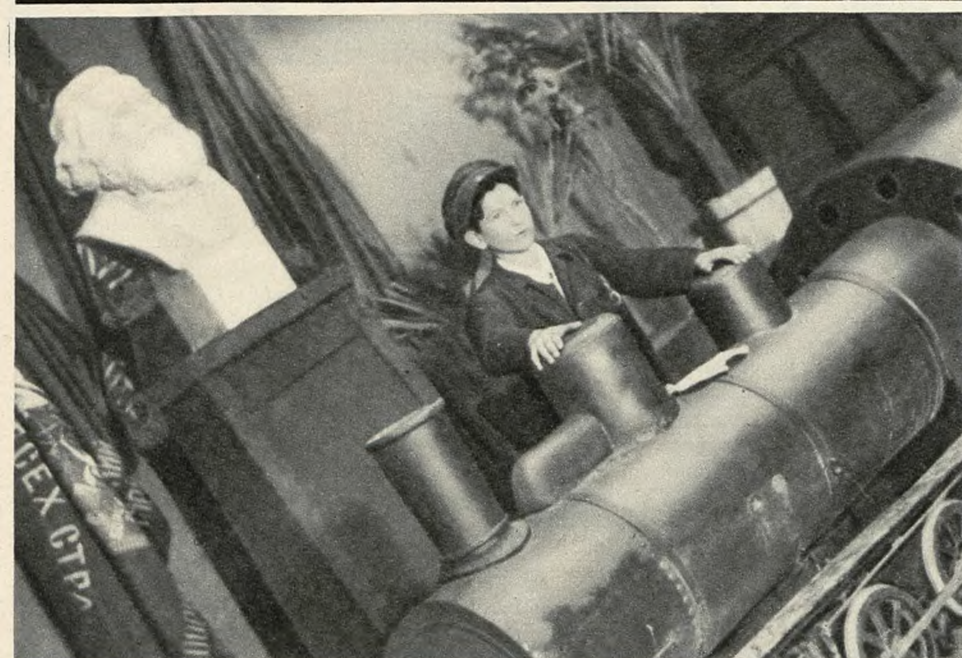
I oto teraz nagle, wśród świątecznej ciszy Wielkanocy rozchodzi się po całej Polsce żałobna wieść, że w lodowych czeluściach tej ściany zginął jeden z najtęższych taterników Wincenty Birkenmajer... Wyprawa ta, jedna z najcięższych wycieczek zimowych, trzymana była w tajemnicy, wierzyć zatem się nie chciało, że ktoś w tak złych warunkach atmosferycznych — jakie panowały tu w święta — porwał się na problem tak szalony. Kto nie był w górach, lub spacerował tylko po dolinkach i przełęczach, pojęcia nie ma, jak wielkiego zasobu sił, wytrwałości, doświadczenia a niejednokrotnie bohaterstwa trzeba na pokonanie letnich, a cóż dopiero zimowych problemów skalnych. Moda wspinaczek zimowych, szerząca się coraz bardziej, popycha naszych taterników do coraz śmielszych przedsięwzięć. Jakże tragiczną ofiarą okupione zostało zdobycie czarnej ściany Ganku! W pełni najlepszych sił, zdrowia i zdolności pada na jej zlodowaciałej krawędzi ś. p. prof. Birkenmajer, którego talent ternicki i alpinistyczny zabłysnął od lat kilku tak świetnie. Około 7 lat temu rozpoczął on chwalebną listę znakomitych przejść w Tatrach. On zdobył z Kuperykiem słynną zachodnią ścianę Łomnicy, tę samą wschodnią ścianą Ganku w lecie, Pośrednią Grań od płd. wschodu, Kaczy szczyt od pln. wschodu, powtarzając pozatem szereg bardzo trudnych robionych już przejść. Brał udział w obu wyprawach w Alpy, które zdobyły Meije, grań Peteret. Ś. p. prof. Birkenmajer odznaczał się wspaniałą techniką skalną, nadzwyczajną wytrzymałością, doskonałą znajomością gór. Zajęty obecnie pracę profesorską w gimnazjum Paderewskiego w Poznaniu, wybrał się w ulubione Tatry na święta, przeznaczając je na dokonanie śmiałego wyjścia. Od towarzysza jego śmiertelnej wyprawy znamy już straszne szczegóły walki w ścianie na śmierć i życie. Ś. p. Birkenmajer wyruszył ze Stanisławem Grońskim w Wielki Czwartek rano, kierując się do dol. Kaczej. Marsz bez nart w kopnym śniegu zmęczył ich trochę, przytem prof. Birkenmajer od początku czuł się niedobrze. Po biwaku w Kaczej, ruszyli nazajutrz o 4-ej rano do szturmu. Oblodzona, śliska ściana nie chciała puścić ich w czarny żleb, grożący lawinami; ledwo przerąbali się z największym trudem pod wieczór w bezpieczniejsze miejsce, dźwigając wielki ciężar na plecach, bo po około 17 kilo, licząc prowiant, namiot, raki, haki itp. Nie mogąc absolutnie pchać się dalej w oczywistą zgubę wykręcili na filar, t. j. grań, oddzielającą wschodnią ścianę od ścian Galerji i tu o I-szej w nocy dopiero przytulili się na spoczynek w grocie śnieżnej. Jak wyglądała ta noc przy huku wichru, na mrozie, nad strasznemi przepaściami, można sobie wyobrazić. Wymęczeni wspinaczką, nie zmrużywszy oka postanowili przeczekać w tej napowietrznej kryjówce Wielką Sobotę, zwłaszcza, że dokuczliwy wicher i zadymka śnieżna biła w oczy, zasłaniając wszystko. W niedzielę świąteczną ruszyli dalej, posuwając się bardzo powoli, asekurując się ciągle linami i rąbiąc stopnie w lodzie. Przejmujące zimno dawało im się okropnie we znaki. Prof. Birkenmajer czuł się coraz gorzej, oddał prowadzenie towarzyszowi, wreszcie p. Groński musiał odebrać od niego wszystkie rzeczy, gdyż słabł coraz bardziej. W strasznej walce z wichurą, skałą i lodem pchali się ostatnim wysiłkiem wzdłuż „filaru“ ku zbawczej rzekomo Galerji. Noc z niedzieli na poniedziałek zaczęła się tragicznie: Wicher porwał podłogę namiotu, część zapasów oraz ciepłe rękawice prof. Birkenmajera. Wobec zamoknięcia zapałek i niemożności zapalenia maszynki spirytusowej, przesiedzieli tę straszną noc przytuleni do siebie, okryci płótnem namiotowem i dygocący z zimna i wyczerpania. Nazajutrz, gdy dosięgli Galerji, prof. Birkenmajer czuł się tak źle, że ledwo mógł utrzymać się na nogach. Towarzysz zachęcał go i zagrzewał, wreszcie ustawiał mu nogi, gdyż tamten słaniał się zupełnie z wyczerpania. Nie myśląc o wchodzeniu na szczyt Małego Ganku, posuwali się w zadymce ku Rumanowej przełęczy, by jak najprędzej zacząć schodzić do dol. Rumanowej i schroniska nad Popradzkiem Jeziorem. Lecz teraz nadszedł kres młodego życia. Ś. p. Birkenmajer padł raz i drugi na kolana, słabym głosem błagał o spoczynek. Wierny towarzysz, będąc sam u kresu sił, wykopał mu jamę w śniegu i złożył go troskliwie. Nie wiedział, że układa go w śnieżny grób na grani na spoczynek wieczny! Po chwili chory stracił przytomność i usnął cicho przy akompanjamencie przeraźliwego wichru. Przerażony Groński napróżno szukał tętna i bicia serca, młode życie uleciało między ukochane szczyty...

Ledwo żywy z wyczerpania i żalu dowlókł się Groński na południe nad Popradzki staw, gdzie zajęto się nim troskliwie i opatrzono odmrożone nogi. Zaalarmowane Pogotowie polskie i czeskie, wyruszyło wkrótce na poszukiwanie ciała. Ekspedycja z polskiej strony pod przewodnictwem p. Oppenheima przypuściła daremny szturm do ściany Ganku od Kaczej. Musiano cofnąć się przed zdobytemi świeżo lodowemi zaporami i ruszać od strony jeziora Popradzkiego, z doliny Rumanowej. Odnalezione z trudem zwłoki, leżące ma krawędzi przepaści były ledwo dostępne. Jedynie wielkiej odwadze i sile przewodników polskich, a zwłaszcza obu Wawrytków i Stopki, zawdzięczać należy odzyskanie ciała. Oblodzony, nachylony ku przepaści taras Galerji był bardzo niebezpieczny, potem zaś transport zwłok poprzez śliskie strome płyty i lawiniaste zbocza stał się ciężką przeprawą górską.

Tak to, zaledwie przebrzmiały echa śmierci w lawinie ś. p. Kamenzównej, nowy grom padł z zasypanych śniegami szczytów. I podczas gdy ludzie bawili się przy świątecznym stole beztrosko i wesoło, gdy dwóch śmiałków upajało się triumfem zdobycia w tym samym czasie czarnej ściany Kiezmarskiego, w skałach i lodach Ganku rozgrywała się kilkudniowa tragedja. A ironja losu kazała umrzeć prof. Birkenmajerowi nie w samej ścianie ale po zdobyciu jej... z wyczerpania. Tyle wysiłków, tyle bohaterstwa, bo przecież kilkudniowa walka z najcięższemi warunkami i sobą samym musi być nazwana bohaterstwem... Pchali się w ścianę, z której nie było odwrotu. Pchali się w zadymkę, mróz, lawiny, lody. Ziębli, mokli, upadali pod ciężarem plecaków, odmrażali ręce i nogi, wytężali najlepsze siły młodych serc i mięśni. Padł nowy rekord, nowa ściana zimowa, — ale tuż po niej padł znakomity taternik.

Na śnieżny grób kwietniowy spływa wraz z żalem gorące życzenie: Oby to była ostatnia ofiara niebezpiecznych zimowych Tatr... **M.**

MITJA JEST BARDZO DUMNY.



Teoretycy komunizmu machnęli dawno ręką na starsze pokolenie, uważając, że nie da się ono nigdy urobić duchowo tak, aby zapomniało o dawnych „burżuazyjnych“ przesądach i stanęło bez zastrzeżeń po stronie nowego porządku. Dlatego Sowiety całą swoją uwagę skierowały na młodzież i dzieci, przypuszczając, że dopiero z tej gliny ulepią nowego człowieka. Nad urobieniem młodzieży pracują liczne stowarzyszenia, do których należy młodzież szkolna. Jednem z takich stowarzyszeń jest związek młodych techników. Na czele nich stoi Mitja Syiwako. Związek ten w oparciu o warsztaty kolejowe, wykonał model lokomotywy (na zdjęciu). Dumny Mitja, przedstawiając na zgromadzeniu to swoje dzieło, wygłasza odpowiednie propagandowe przemówienie.

WALKA Z KORSARSTWEM W CHINACH.



W „państwie środka“ na porządku dziennym jest uprowadzanie Europejczyków przez piratów, którzy z niecnego tego procederu czerpią znaczne zyski, żądając za ofiary swoje znacznego okupu. Walka z piratami jest prowadzona bezwzględnie. Schwytani korsarze bywają publicznie ścięci, a głowy ich są wieszane na murach, lub drzewachdla postrachu. Mimo to jednak korsarstwo kwitnie w dalszym ciągu, a dowodem tego jest porwanie dwóch oficerów angielskich, które miało miejsce w tych dniach. Na zdjęciu kat, trzymający w ręku głowy ściętych piratów.

WYMIERAJĄCY MAORYSI.



Pierwotną, polinezyjską ludność w Nowej Zelandji stanowili Maorysi. Były to szczepy bardzo wojownicze, hołdujące ludożerstswu, które dopiero z końcem XVIII wieku udało się podbić Europejczykom. Zczasem przeszli oni na chrześcijanizm i zarzucili dawne barbarzyńskie obyczaje. Jeszcze na początku XIX wieku liczba ich wynosiła 120.000, w r. 1918 już tylko 43. 143. Obecnie jednak Maorysi, otoczeni czujną opieką, już jako wymierający szczep, zaczynają powoli podnosić się z upadku. Teraz jest ich już 53.655. Cofnęli się oni wgłąb Nowej Zelandji i pędzą tam spokojne życie zdala od białych przybyszów. Zaznaczyć przytem należy, że Nowa Zelandja należy do najbogatszych i najwyżej cywilizacyjnie stojących krajów na kuli ziemskiej. Mieszkańcy jej ciągną olbrzymie zyski z chowu bydła, a przedewszystkiem owiec. Ponieważ ceny na wełnę w ostatnich czasach bardzo spadły, przeto rząd australijski kazał niedawno zabić miljon owiec, łudząc się, że to poprawi ceny wełny. Od r. 1907 Nowa Zelandja została przekształcona na dominjum, wchodzące w skład imperjum angielskiego.

ROZKŁAD MUMJI LENINA.


Zabalsamowane zwłoki Lenina.

Po śmierci Lenina, zwłoki jego zostały zabalsomowane przez najlepszych specjalistów z Niemiec i umieszczone w szklanej trumnie w mauzoleum na pl. Czerwonym w Moskwie. Obecnie jednak dostęp do mauzoleum został zamknięty, ponieważ szczątki Lenina zatrzynają się psuć. Tak więc okazuje się, że pomimo całego nowoczesnego postępu w chemji, dalecy jeszcze jesteśmy od tej doskonałości w balsamowaniu zwłok, w której celowali kapłani egipscy. Mumje bowiem przez nich spreparowane przetrwały tysiące lat w stanie nienaruszonym.

Co kilka lat wprawdzie telegramy donoszą o znalezieniu jakiejś nowej niezawodnej metody balsamowania, ale wszystkie te odkrycia okazują się po krótkim czasie bluffem. Dlatego i mumja Lenina prędzej, czy później rozleci się w proch.

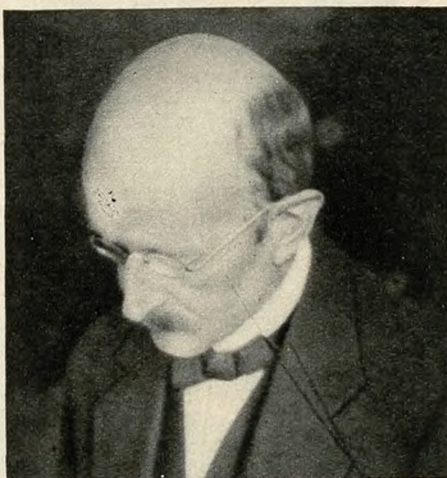
BRUNO WINAWER.

PROFESOR PLANCK MA GŁOS.

W Lipsku i Londynie — jednocześnie ukazał się na półkach księgarskich spory tom studjów poważnych. Na karcie tytułowej pod obiecującym nagłówkiem: „Dokąd nauka zmierza?" figuruje tylko imię, nazwisko i najskromniejszy tytuł akademicki autora: Dr Max Planck, ale... Jak świat długi i szeroki — od Norwegji do Australji i od La Platy do Tokio — ludzie fachu wiedzą dobrze, że to przemawia jeden z największych koryfeuszów wiedzy współczesnej, twórca teorji „kwantów", laureat nagrody Nobla, prezes akademji, członek honorowy najczcigodniejszych instytucyj zagranicznych, itd .itd. Krótko — znakomity, zasłużony profesor Max Planck. Chyba jakiś kataklizm niepojęty mógłby usunąć to nazwisko z dziejów fizyki teoretycznej, którą swemi ideami pchnął na nowe tory, zagrzał do nowych czynów. Jego „kwanty" energji wywołały lawinę prac, stworzyły nowy rozdział czy nową księgę w historji nauk przyrodniczych.

Wydanie angielskie poprzedził wstępem Albert Einstein. Już to budzi zabawne refleksje. Kilka lat temu, kiedy śmiała teorja względności torowała sobie drogę przez dymy i ognie sporów i dyskusyj, kiedy walczyła o byt — przytaczaliśmy w artykułach i broszurach zdanie ważkie i — oczywiście — pochlebne znakomitego Plancka o Einsteinie. Teraz relatywizm zajął miejsce poczesne, zdobył uznanie i rozgłos i dlatego — na żądanie wydawców — Einstein dla odmiany prezentuje Plancka publiczności szerszej. Powiedzmy odrazu, obaj stoją na najwyższych szczytach dzisiejszej wiedzy ścisłej, obaj wznieśli sobie pomniki spiżowe, dzieło ich życia nie przeminie, przeminąć nie może.

Ale kto się uważniej wczyta w książkę teoretyka Plancka, spostrzeże ze zdumieniem, że Los-figlarz płata zabawne psikusy nawet na tych samotnych szczytach i wyżynach, pozwala sobie na żarciki swawolne i nie ma respektu należytego nawet dla pomników spiżowych. Posłuchajmy: lat temu kilka teorja Einsteina wydawała się jakimś anarchistycznym zamachem bombowym na czcigodne mury i podwaliny wiedzy. Witano ją głośnemi krzykami oburzenia, otrąbiono niemal krucjatę, zwołano pospolite ruszenie, jakiś spryciarz wydał broszurę p. t.: „Hundert Professoren gegen Einstein". Dziś — przeczytajcie książkę Plancka! Teorja względności łączy się ściśle z wiedzą „klasyczną", tworzy właściwie wdzięczną „nadbudówkę". W każdym razie można ją wyłożyć popularnie, można się powołać na przykłady dla każdego zrozumiałe, można wytłumaczyć rozsądnemu człowiekowi, dlaczego dwa zdarzenia są jednoczesne dla nas, ale nie są jednoczesne absolutnie. Nikt tu fundamentów nauki nie podrywa, nikt tu murów odwiecznych nie obala... Natomiast niewinna pozornie „teorja kwantów" spokojnego profesora berlińskiego doprowadziła do takiego kryzysu niebywałego, wywołała taki wstrząs potężny, że wszystkie gmachy się zarysowały naraz, solidne tereny naukowe chwiać się zaczęły pod nogami badaczy i najrozważniejsi ludzie mieli ochotę rzucić wszystko i uciekać w popłochu.


Dr. Maks Planck, twórca teorji kwantów, którego badania posiadają epokowe znaczenia dla fizyki, a przedewszystkiem dla poznania budowy atomów.

Ideę zasadniczą Plancka — nie wyssał jej zresztą z palca, ale wyprowadził mozolnie z solidnych danych doświadczalnych — można zrozumieć od biedy: energja dzieli się też na „atomy", ma jakby ustrój ziarnisty i przy wszelkich przemianach w przyrodzie pewna ilość odmierzonych „kwantów" zostaje tu potknięta, a ówdzie wypluta. Nic w tem — pozornie — niema rewolucyjnego. Obmyślono i wykonano setki pięknych doświadczeń, z których wynika, że ta idea jest słuszna, stwierdzono ją nieraz nietylko w fizyce, ale w naukach ościennych...

A jednak gdzieś na dnie sprawy ukrywa się t. zw. „niezrozumialstwo". Zbudowano np. — dla wyjaśnienia zjawisk świetlnych i innych — piękny i nawet dość prosty **model atomu:** elektrony wirują naokoło jądra, jak planety naokoło słońca, spadają z jednej orbity na drugą i wysyłają w przestrzeń fale — światło. Ten „atom Bohra" miał jedną piętę Achillesową, jeden punkt ciemny i zagadkowy: elektron, spadając z orbity, miał wyrzucić z siebie „kwantum Plancka"... Dlaczego?

Nikt na to pytanie odpowiedzieć nie umiał, nikt sobie **wyobrazić** nie mógł, jak się to żonglowanie „kwantami" właściwie odbywa, aż wreszcie... Powstała nowa szkoła fizyków, którzy nic sobie wyobrażać nie chcą i żadnych **modeli** budować nie zamierzają. W przyrodzie — powiadają — mamy do czynienia tylko z prawami statystycznemi, można zjawiska rejestrować, zamykać w zimnych formułach, ale tłumaczyć ich nie można. Jeżeli metal **rad** promieniuje, to pewna ściśle określona część jego atomów rozlatuje się co sekunda, ale dlaczego jeden atom trwa dwa tysiące lat i będzie trwał drugie dwa tysiące, a inny eksploduje teraz, czy za minutę — nie wiemy, nie chcemy wiedzieć. Basta.

Młodzi teoretycy wygłaszają zresztą jeszcze bardziej wywrotowe poglądy. Dotychczas za najistotniejszy, najważniejszy fundament naszej wiedzy uchodziło t. zw. prawo przyczynowości. Wierzyliśmy, że każdy fakt ma szereg przyczyn, które go wywołują. Nie możemy pogody przewidzieć ściśle, bo nie znamy wszystkich wirów, prądów, ciśnień w atmosferze. Ale gdybyśmy zdobyli odpowiednie dane powiemy, czy jutro będzie słońce czy deszcz i zawierucha.

Otóż młodzi — podrywają nawet prawo przyczynowości! Twierdzą, że nigdy nie poznamy dokładnie wszystkich przyczyn. Spróbujcie opisać ruch „elektronu" — wołają kto go chce zobaczyć, musi go oświetlić i to najkrótszemi falami świetlnemi. Ale im krótsze fale, tem energiczniej spychają elektron z drogi. Wasze obserwacje deformują zjawiska! Nie wiemy, nie będziemy wiedzieli!

Profesor Max Planck na trzystu stronnicach swojej książki rozprawia się z temi hasłami rewolucyjnemi. Jest trochę jak ów uczeń czarnoksiężnika, który ciemne siły wywołał, ale ich opanować nie umie. Próbuje słowem rozważnem uspokoić nawałnicę, leje oliwę na wzburzone bałwany i spiętrzone fale. Z jego wywodów rozsądnych wynika, że niema tymczasem powodu do popłochu i paniki.

Że przyrodę i jej prawa rozumiemy trochę lepiej dziś, niż przed wiekami — na to mamy bardzo ważkie argumenty.

I tylko człowiek ślepy albo sztucznie „teorją" zaślepiony ich nie dostrzega.

Że Kopernik, Newton, Favaday i Hertz walczyli o coś więcej — nietylko o statystykę i formułę — to też chyba nie ulega wątpliwości.

ECHA TYGODNIA.



KURS NEOFILOLOGICZNY W KRAKOWIE. W Krakowie, w gimnazjum Nowodworskiego, zakończył obrady 10-dniowy kurs dla profesorów szkół średnich języka niemieckiego i francuskiego. W kursie tym, którym kierowały instruktorki Ministerstwa W. R. i O. P. p. Dewitzowa i Nieniewska, wzięło udział 150 osób.



MISS ITALJA 1933. Wprawdzie Mussolini zakazał we Włoszech urządzania konkursów piękności, ale mimo to dokonano tam wyboru Miss Italji na rok 1933. Została nią urocza Ivana Prusco, licząca 18 lat.



BIEG NA PRZEŁAJ W POZNANIU. W tegorocznym biegu na przełaj o mistrzostwo Polski na dystansie 9.200 m, pierwsze miejsce zdobył Hartlik z Królewskiej Huty, a drugie Strzałkowski z Białegostoku. Na zdjęciu zawodnicy na chwilę po starcie.



PRYMICJE W CHRZANOWIE. W kościele parafjalnym w Chrzanowie odbyły się uroczyste prymicje ks. Władysława Grohsa i ks. T. Jajki. Prymicjantom (na zdjęciu) składano serdeczne gratulacje. Przemówił do nich ks. prałat Hanuszek, rektor Seminarjum z Krakowa.



Jemejscy żydzi, tłuczący kamienie nad brzegiem morza Śródziemnego, w pobliżu miasta Tel Aviv.

JEMENICI.

W sercu Arabji w prowincji Jemen, rządzonej przez króla zwanego Imanem, mieszka około 60.000 żydów, zwanych Jemenitami. Są oni podobno potomkami dziesięciu pokoleń żydowskich, wygnanych z Palestyny po zniszczeniu królestwa Izraela. Położenie ich jest tam bardzo ciężkie, ponieważ są traktowani jako obywatele drugiej klasy. Nie wolno im przy wyjeździe z kraju zabierać ze sobą żadnego majątku. Kto narusza te przepisy, naraża się na konfiskatę całego majątku na rzecz władcy. Są oni elementem bardzo pracowitym, wykonując najcięższe roboty.— Specjalnością ich jest jednak złotnictwo. Obecnie wielu Jemenitów ucieka do Palestyny, gdzie są osadzani na roli w osobnych osadach przez organizacje sjonistyczne. Djalekt ich różni się wymową od używanego w Palestynie języka hebrajskiego.— Fachowcy jednak twierdzą, że język ich jest najbardziej zbliżony do starohebrajskiego.



Jemejski żyd, powracający z pracy przy budowie drogi.

FOT. ALEKSANDROWICZ, KRAKÓW.

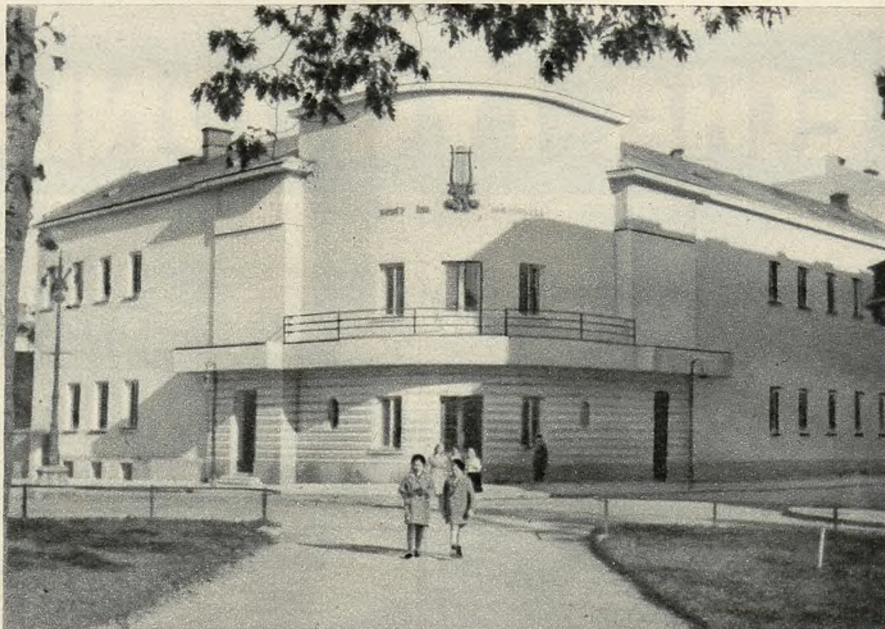
PIĘKNA SCENA PROWINCJONALNA.

Z TEATRU IM. MONIUSZKI W STANISŁAWOWIE.

Bieżący sezon teatralny w jedynym stałym teatrze polskim im. Moniuszki w Stanisławowie, jest naprawdę godny najwyższej pochwały. Wystawiono dramaty takie, jak „Wesele", „Sułkowski", „Balladyna"; opery, jak „Eugenjusz Oniegin". — Ten niezwykły poziom atrystyczny teatru jest w wielkiej mierze zasługą pp. dyrektorów Jareckiego i Vorbrodta, reżysera Sokołowskiego i artysty malarza Sulimy, którzy zdołali liczne rzesze amatorów (stanowiących przeważną większość zespołu teatralnego) wykształcić i przysposobić do tego stopnia, że przy ich pomocy osiągnięte zostały tak piękne rezultaty pracy. Złożyło się zaś tego roku tak, że ten świetny rozwój działalności teatru przypadł na okres odnowienia, a raczej nawet zmiany szaty zewnętrznej gmachu, który swym wyglądem, jak również nowoczesnemi urządzeniami wnętrza śmiało mógłby zaimponować miastom większym od Stanisławowa. Wspaniały sukces przyniosło teatrowi wystawienie „Balladyny" Słowackiego w inscenizacji i reżyserji dyr. Vorbrodta. Doskonałe kreacje dali artyści-amatorzy pp. Schubertowa. Wostrowska, Sirkowa, Bielawski, Hudetz, Klocek, Ziobrowski i Pytasz. Piękne dekoracje p. Sulimy i ilustracje muzyczne p. Jareckiego dopełniły chlubnej dla sceny prowincjonalnej całości.



Scena z „Balladyny" w inscenizacji i reżyserji dyr. K. Vorbrodta.

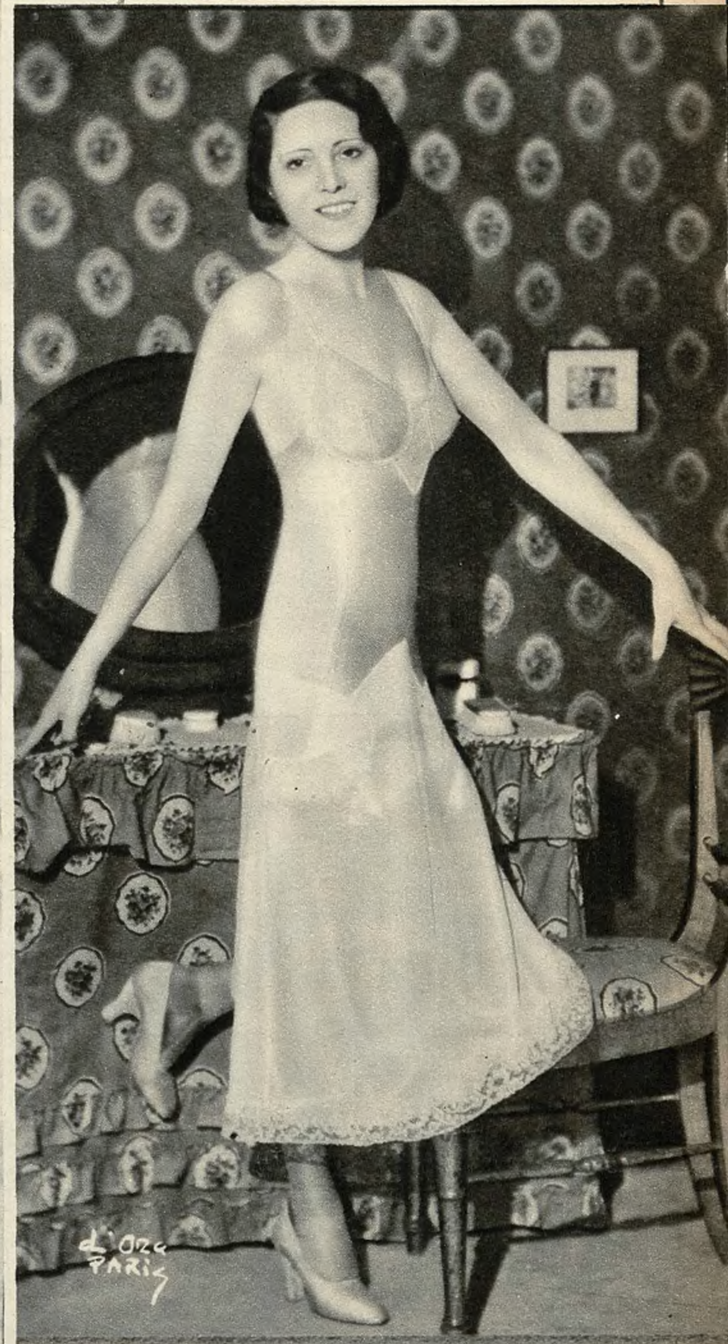


Odnowiony gmach teatru im. Moniuszki w Stanisławowie.

SMUKŁA LINJA I MODNE DESSOUS







Czarna kombinacja modnego gorsetu z halką.

W pośrodku: Tualeta wieczorowa z czarnego toile cirée i białej crèpe satin (Lucile Paray).



W kole: „Koronkowy poemat". Uroczy negliż artystki filmowej Jean Parker.

Biała kombinacja pod wieczorową tualetę.

Mimo spadających od czasu do czasu zapowiedzi, iż kończy się panowanie smukłej linji sylwetki kobiecej, a powracają do łask mody kształty nieco pełniejsze — triumfuje ona nadal w całej pełni, a wszystko dostosowuje się w dalszym ciągu do jej wymogów.

Smukła linja sylwetki sprawia, iż krój sukni podkreślać może w sposób zupełnie estetyczny linje ciała. Nie potrzeba bowiem ani tuszować zbytniej wybujałości kształtów, ani uzupełniać ich w sztuczny sposób, jak to dawniej miało miejsce. Naturalna linja ciała wysmukłej, wysportowanej, współczesnej kobiety, swobodnie ukazuje się w sukni, modelującej jej kształty.

Ale też, posunięty aż tak daleko w kierunku uwysmuklenia sylwetki krój sukni, wymaga specjalnego dessous, które nie może ani jednym niepotrzebnym fałdem czy zmarszczką zepsuć doskonałości linji. Nie może też przez cienki materjał tualety przebijać od spodu żaden fałdzik. Suknia leżeć musi naprawdę jak ulana.

Idąc za temi wskazaniami, dawna bielizna dzienna uległa zasadniczym zmianom. Koszulkę, gorset, staniczek i starodawną halkę zastąpiła nowa kombinacja, a to złączony z koronkowym biustnikiem, gumowy najczęściej pas z podwiązkami, do którego przyszyta jest umiejętnie długa spodniczka, w miarę potrzeby z crepe satin lub crepe de Chine i wykończona koronkami. Pod spód cieniutkie reformy — i dessous skompletowane.

Oczywiście, że na takim spodzie każda suknia wychodzi idealnie — z tem zastrzeżeniem, że wchodzą tu w rachubę kobiety smukłych kształtów. —J. Z.

Zwierzęta, którym grozi zagłada.

Fotografje F. Dangla, Wilno.

Głowa żyrafy.



Pawiany grzywiaste. Żyją one w skalistych okolicach Afryki. W starożytnym Egipcie były poświęcone bogowi Totowi i uznane za święte.

Nie tak dawno jeszcze, bo w r. 1908, w książce swojej, poświęconej faunie afrykańskiej („Raubwild u. Dickhäuter in Central-Africa“) pisał znany niemiecki historyk myśliwstwa, v. Spolding te słowa:

„Zabiłem dwa nosorożce dubletem z ekspressu. Mam ich przeto dziewięć na rozkładzie myśliwskim ostatniego tygodnia“.

A więc dziewięć nosorożców, w siedem dni ustrzelonych... Nie tak to przecież dawno, a jakżeż bardzo zmieniły się warunki polowań na wielkich stepach Afryki.

Afryka — której rozległe stepy były doniedawna eldoradem dla zwierząt łownych najprzeróżniejszego gatunku — wyludniła się omal że zupełnie, a piaszczyste równiny, po których, wzniecając tumany kurzawy, mknęły tysiączne stada antylop — przecinają białe wstęgi szklanych szos.

Nosorożec dwurogi (rinocerosus bicornis), o którym, jako o dość pospolitej zwierzynie w swych pamiętnikach wspminają: Józef hr. Potocki, Edward Foa, v. Spalding i Wodziccy, wyginął zupełnie i zapewne już dziś byłby oglądany jedynie w podręcznikach zoologji, bądź w zbiorach muzealnych, gdyby nie nader pieczołowita i staranna opieka nad założonemi w roku 1930 rezerwatami...

Nosorożec, którego praojcowie zamieszkiwali całą południową Europę w odległych epokach geologicznych, dziś na sztuki nieledwie liczony, wraz z słoniem afrykańskim cofał się w coraz bardziej zalesioną część (i tem samem nienawiedzaną przez człowieka) Konga i w skaliste okolice wielkich jezior afrykańskich....

Królewsko Brytyjski Zarząd Gubernjalny, zorjentowawszy się wreszcie w skutkach bezmyślnej strzelaniny przygodnych gentlemanów-myśliwych, ustanowił dla obu gatunków ochronę. — Od dwu zaledwie lat oszczędza się w Afryce słonia i nosorożca, tak jak u nas chroni się żubra i bobra.

Nie lepiej jednak dzieje się innej zwierzynie łownej w Afryce.

Giną żyrafy.

Wielka epidemja księgosuszu, która w roku ub. wyniszczyła bydło domowe Massajów, w dziwny sposób przeniosła się i na dzikich mieszkańców stepu...

Ofiarą jej padła nietowarzyska i płochliwa żyrafa.

Lekarsko-weterynaryjna ekspedycja angielska w wyprawie swej, mającej na celu zwalczanie księgosuszu, szerzącego się wśród bydła w wioskach murzyńskich, napotykała na stepach na liczne trupy żyraf.

Wiedzione nigdy nieomylnym instynktem, cofnęły się groteskowe te, lecz piękne zwierzęta ku jeziorom, idąc śladem, dawno już wytępionego swego pobratymca Ocapi.

Nietylko jednak zła choroba zmusiła laskonogą żyrafę do szukania bezpieczniejszego azylu. Zmusiły ją i zebrę do panicznej ucieczki od brzegów oceanu nie kto inny, tylko piękne panie z wesołych bulwarów Paryża i Trafalgar-Squer Londynu...

Zdawałoby się rzeczą omal że nieprawdopodobną, by te piękne (a czasem i o istnieniu żyrafy niewiedzące istoty), tak rozbrajająco się uśmiechające i piękne, mogły się stać powodem masowego mordu niewinnych i dalekich zwierząt. Lecz tak było w istocie. Z starego lądu, zamieszkałego przez młode i piękne kobiety, na szerokie stepy Afryki przyszedł bezwzględny nakaz, cedowany przez Panią Modę, dostarczania skór zebry i żyrafy na płaszcze i strojenia do sukien.

Zebra i żyrafa podzieliły los węży indyjskich i powędrowały na jasno oświetlone wystawy modniarskie wielkich metropolij Europy.

Chciwy łatwego zysku i zarobku, chwytał człowiek za karabin i po niewidzianych ścieżynach szedł trop za tropem za żyrafą.

Padał strzał, długie zwierzę potykało się w wyciągniętym galopie, a za dni kilka wędrowało do Dar-es-Salam do rąk kupca agenta, który za bezcen skóry zebr i żyraf zakupywał.

Masowe egzekucje (gdyż nieraz cała wieś murzyńska organizowała w sto karabinów myśliwskie wyprawy), zwróciły wreszcie uwagę Zarządów kolonjalnych, które wreszcie powiedziały: stop! Murzynom odebrano karabiny, a kupcom zaproponowano, by zechcieli skóry zwierząt afrykańskich, na potrzeb pięknych pań, fabrykować z najprawdziwszych... królików europejskich. Zorjentowawszy się w pozostałym zwierzostanie, zakazano odstrzału. lamparta oraz antylopy Kudu, której piękne sfalowane (do 2 metrów długości dochodzące) rogi były nielada trofeum myśliwskiem.

Za przykładem gubernatorstw angielskich poszły i zarządy kolonjalne Belgji, Francji, a wreszcie królestwa Italji, zakazując (te ostatnie) w swych kolonjach odstrzału pawiana grzywiastego (Cynoeephalus), którego srebrzyste futerko było rozchwytywane na rynkach futrzanych Europy.

Małpom tym bowiem wypowiedziano bezmyślną wojnę, niszcząc je nietylko dla zdobycia futra, lecz także bijąc w nie z wielostrzałowych sztucerów dla „sportowego“ wprawiania się w strzelaniu.

Opowiadał mi K. Hoffmann de Meswal, b. urzędnik gubernatorstwa niemieckiego w Wschodniej Afryce, iż bawiąc przed kilku laty z wizytą w jednej z sąsiadujących obcych kolonij, był świadkiem krwawej, a bezmyślnej zabawy oficerów armji kolonjalnej, której ofiarą padło kilkadziesiąt pawjanów. Oficerowie zajechali do wąwozu, który był siedliskiem małp, rozłożyli namioty, krzesła składane i broń.

Pawjany, uprzedzone przez swoich „wartowników“ o przybyciu gromadki ludzi, tłumnie zaczęły się gromadzić na gzymsach skał, pilnie poglądając, co też tam na dole wyprawiają ludzie... Wtem padła salwa wystrzałów i kilka małp z żałosnym okrzykiem spadło w dół.

Zdezorjentowane i nie przeczuwające niebezpieczeństwa zwierzęta zaczęły na odgłos strzałów i jęku towarzyszy coraz to gromadniej nadbiegać, choć za każdą salwą padało kilku z ich towarzyszy.

Podobne małpie „tir aux pigesus“ urządzano wszędzie, zdobywając niekiedy po kilkaset grzyw pawjanów, jako bardzo wątpliwej jakości trofeum myśliwskie.

Nietylko jednak w Afryce daje się zauważyć zanik wielkich zwierząt łownych.

W Południowej Ameryce, dotąd bardzo popularna i dość licznie występująca puma — lew amerykański, musiała przed zagładą zupełną uciec się do stanowczej interwencji panów z Białego Domu. Miejscowi gauhos, oraz przyjezdni bogacze-myśliwi ze Stanów północnych, póty strzelali do pumy, póki ta nie stała się mitem lasów dziewiczych i pampasów.

Dziś wraz z bizonem amerykańskim chroniona jest przez prawo, a jeszcze skuteczniej przez ojczyste dziewicze knieje, do których wstępu człowiekowi bronią labirynty ljan.

— — — — — — — — — — —

Wielcy książęta i feudały knieji giną.

Wypiera je człowiek — drobiazg walczy o byt. Wiemy przecież dobrze, że w czasie nakręcania jednego z filmów pod biegunem, reaelizatorowie filmu zmuszeni byli zapożyczyć białe niedźwiedzie od Hagenbecka z Hamburga, gdyż w arktydzie ich nie znaleziono, wiemy iż w portach Afryki urzędnicy celni otrzymali nakaz nie przepuszczania lwów, wywożonych do Europy, a ogrody zoologiczne same zmuszone są dochowywać się „narybku“ lwiego w Europie...

Królewiętom stepów i dżungli źle się dzieje...

Tembardziej przyklasnąć należy twórcom rezerwatów, tembardziej wdzięczni być możemy twórcom ochrony naszej zwierzyny, którzy postawili Polskę na naczelnem miejscu w szeregu krajów europejskich, posiadających po dziś dzień: niedźwiedzie, żubry, świstaki, bobry i łosie.

FELIKS DANGEL (Wilno).

MUDŻI-MARIA (CONGO BELG).



Murzyn ze szczepu Walendu, stróż wiejski, zwołujący przy pomocy bębna mieszkańców.

Marzec już — a z nim razem w okolicach na północ od równika nastaje pora tak zwana deszczowa. Ona też zniewala mię dziś do postoju — a że bezczynność dla mnie to męczarnia — więc piszę.

Za oknami mej przygodnej izby leje strugami deszcz i przesłania cały krajobraz. Jeżeli nasza jesień należy do przykrych, to deszcze tutejsze są wprost piekłem, a towarzyszące im burze podzwrotnikowe nietylko ujemnie działają na ustrój nerwowy, ale chwilami powodują wprost letarg psychiczny.

Po silnej malarji — która mnie z nóg zwaliła na kilka tygodni — jadę znowu, względnie przekradam się z osiedla do osiedla, a że deszcze wypłukały niemożliwie drogi, miejscami zaś rozlały się kałuże gęstego błota, więc jazda rowerem jest nad wyraz trudną, tembardziej, że teren silnie górzysty — a anemja, która po malarji się wywiązała, osłabiła organizm i tak trudami wieloletniej podróży nadwyrężony.

Deszcz leje — grzmią pioruny aż drżą szyby okien przygodnej mej izby we wiosce wysoko położonej w górach Ituri — tuż niedaleko na zachód od brzegów jeziora Alberta, zwanego przez tubylców także „Mwuta-nzige" (w narzeczu kilendu znaczy „Śmierć Szarańczom").

Okolicę zamieszkują trzy szczepy murzyńskie, to jest Walendu, Wabira i Wahema.

Trzy te szczepy żyją niezupełnie izolowane — to jest zamieszkują wspólnie liczne okoliczne wioski. Zdawałoby się: jeden naród — a jednak gdy się bacznie obserwuje — spostrzec można, że dzieli je bezdenna nienawiść — i nietylko odrębność języka — ale wprost zwyczaji i obyczaji.

Najliczniejszy z tych szczepów to Walendu, który przed wiekiem może zajął te bezkresne stepy wysokogórskie — wygnany jakąś klęską prawdopodobnie z niedalekiej Abisynji. Osiadł na miejscu, pobudował skromne lepianki, wokół których zieleniły się liczne krzewy bananów i pola manioki, a po zboczach gór w bujnej trawie stepu — pasły się niezliczone stada bydła rogatego, chluba i duma prawdziwego Walendu, który bydło rogate czci prawie jak bóstwo. Gdy zamożność szczepu doszła do szczytu — a o bogactwie dowiedziały się okoliczne szczepy — przyszedł okres sławnych wojen murzyńskich i najazdów, a że Walendu, acz liczni, jednak do wojny pociągu nie mieli, ani zdolności — ziemiami ich i dobytkiem zawładnął wkońcu wojowniczy szczep Wahema — który do pomocy przyjął sobie sąsiedni szczep Wabira — zamieszkujący wówczas wschodnie pobrzeże jeziora Mwuta-nzige (Alberta).

Tyle opowiadają o dawnej przeszłości historycy szczepów wspomnianych powyżej, gdy przy ognisku wieczorem zbierze się młodzież. Historyk taki, to osobistość wśród murzynów dość wysoka — a wiadomości przekazał mu poprzednik — nie spisane wprawdzie, ale dziś te opowiadania są jedyną podstawą tworzenia pisanej historji świata murzyńskiego, do czego zabierają się uczeni.

Role się zmieniły. Bogaci Walendu stali się sługami najeźdźców Wahema, którzy zrabowane bydło paśli teraz — a że byli to ludzie o bardzo dużej ambicji szczepowej, więc uporawszy się z Walendu — zaczęli gnębić swych sprzymierzeńców Wabira, a przedewszystkiem rabować ich kobiety, które słynęły z piękności. Wtedy to biedni Wabira — nie czując się na sile wystąpić orężnie przeciw mocarnym Wahema, wpadli na pomysł oszpecania karykaturalnego swych kobiet. Zaczęto dziewczynkom nacinać obie wargi, a w otwór wkładać coraz to większe krążki z hebanu lub kości słoniowej. Po czasie krążki te wraz z okaleczonemi wargami tworzyły rodzaj potwornego dzioba, a w następstwie nos się spłaszczał i nozdrza niemożliwie rozciągały, a z pięknych kobiet zrobiły się pokraczne maskary. Na takie kobiety, z któremi nie można się było nawet całować, przestali się łakomić pasterze Wahema, ale ostatecznie zgody nigdy nie było, a szczep Wabira stał się jak i Walendu sługą najeźdźców, którzy po dziś dzień należą do ludzi zamożnych — i poza pasterstwem żadnej pracy się nieoddają. Ziemię ich uprawiają zawojowane szczepy, które za skromną opłatą budują im domy i wszelkie prace wykonują.

Zdawałoby się, że lata zbliżyły te szczepy, lecz przeciwnie — nienawiść się wzmogła — mimo to jednak szczepy te nie mogą wystąpić zbrojnie przeciw sobie, bo rząd kolonjalny wojen zabrania...

Szczepy te— jak wspomniałem — mają własne narzecza — a językiem porozumiewawczym jest język „kiswaili", który stanowi pewnego rodzaju „esperanto" murzyńskie.

Związki małżeńskie wśród członków dwu szczepów są wykluczone — to też o zbliżeniu się mowy dziś niema. A zresztą ceny za żonę ze szczepu Wahema są naprawdę wygórowane — bo aż 10 stadników i 2 krowy — podczas gdy kobiety dwu innych szczepów kosztują zaledwie 3 stadniki, a dumny Wahema nie zniży się do poślubienia sługi swojej.

Po szmaragdem pastwisk okrytych górach widać pasące się bydło i nocne zagrody — które chronią bydło od napadów dzikiego zwierza. Koło tych zagród rankiem ciekawą rzecz zobaczyć można.

Oto służebne Walendu i Wabira schodzą się na wydój krów i naczynia przeznaczone na mleko płóczą moczem krowim — zostawiając na dnie nieco cieczy, a następnie doją mleko. Mocz w zetknięciu się z mlekiem powoduje skwaszenie mleka — z którego następnie w tych samych naczyniach, bądź też w skórach owczych, czy kozich robią masło.

To też nie wiem, czy który z Europejczyków tu osiadłych zdobył się na odwagę kupienia tego tubylczego masła, ale oni twierdzą, że właśnie takie masło jest dobre, a smakuje, że aż trudno oderwać się od „gliniaka", w którem to cuchnące „smarowidło" się mieści.

Dla murzyna jednak — a zwłaszcza dla pasterza Wahema — nietylko krowa, ale jej mocz i kał, to coś prawie boskiego — to lekarstwo — kosmetyk — to zaprawa potraw!

Ale i w drogę czas — wiatr przegnał chmury i nawet ciekawie wyjrzało słońce, odzwierciedlając się w przelicznych kałużach. Gór jednak nie widać — opary włóczą się nisko — gdzie noc wypadnie spędzić — to trudno przewidzieć w taki psi czas podrównikowych deszczów...

Kazimierz Nowak.



Dziewczyna z nad jeziora Alberta. Nosi ona kunsztowną fryzurę, szytą igłą.



Murzynka ze szczepu Wahema, karmiąca dziecko.

Zdjęcia Kazimierza Nowaka.

Humor Światowida

DOŚWIADCZONY PALACZ.



— Ja po pierwszym papierosie nie mogłem się ruszać przez dwa tygodnie...
— Tak ci było niedobrze?
— Nie, tylko ojciec sprawił mi lanie...!

KRYZYSOWA MUZA.



Poeta: To ty, moja muzo? — Podyktuj mi coś.
Muza (dyktuje): „Szanowny panie; nie mogąc dotrzymać terminu zapłaty...".

OFIARA ZABOBONU.



— Jest prawie trzynaście osób przy stole; czy nie sprawiłoby panu różnicy, gdyby pan przyszedł kiedyindziej...?



Agent: A teraz bez żartów; po raz ostatni się pana pytam: kupuje pan, czy nie?!

DWA OBLICZA.



— To jest portret mojej żony, który był wystawiony w salonie wiosennym...
— A to na lewo?
— To moja żona; powiększenie fotografji do paszportu...

WIOSNA W POKOJU DZIECINNYM.



— Dlaczego nie chcesz, żeby cię panna Jadzia rozebrała?
— Bo ja chcę, żeby mnie wiosna rozbierała...!
— Ależ Stasiu, skąd ci to przyszło do głowy?
— Przecież słyszałem, jak tatuś mówił do panny Jadzi, że go wiosna rozbiera...

MAŁY CYNIK.



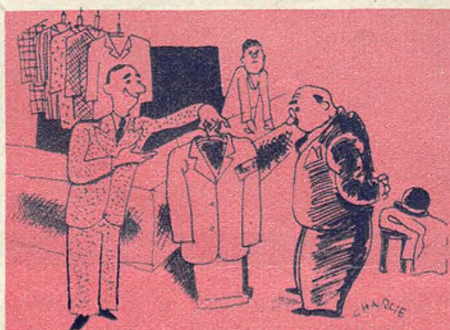
— Pamiętaj chłopcze, jesteś już w tym wieku, że nie wolno ci więcej kłamać...
— A kiedy się ten wiek kończy?

NA PODWÓRKU.



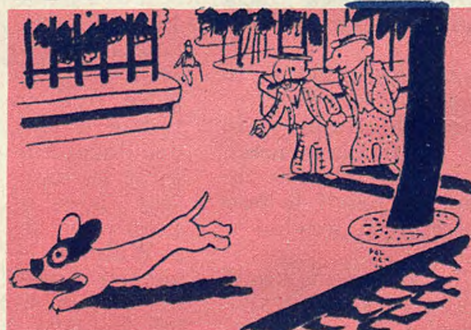
Sąsiadka: — Jak pani syn wyrósł...
— O tak, jest bardzo rosły, jak na swój wiek i z każdym dniem staje się podobniejszy do ojca...
— Niemożliwe! I kochana pani nic temu nie przeciwdziała?

ZNALAZŁ RADĘ.



— To ubranie kosztuje 100 złotych.
— Wolałbym droższe.
— W takim razie, niech pan zapłaci za nie 150 złotych...

ALE...



— Niema żadnego sposobu na to, żeby ten pies słuchał...
— Czy jest taki kapryśny?
— Nie, ale jest głuchy.

MIĘDZY POETAMI.



— Mnie jeszcze żadna redakcja nie zwróciła rękopisu...
— Niech pan spróbuje dołączyć znaczki na odpowiedź...

WIERZYCIEL.

— Dzisiaj straciłem największego mojego wierzyciela.
— Winszuję; czy umarł?
— Nie; musiałem mu zapłacić.

JEDYNY SPOSÓB.

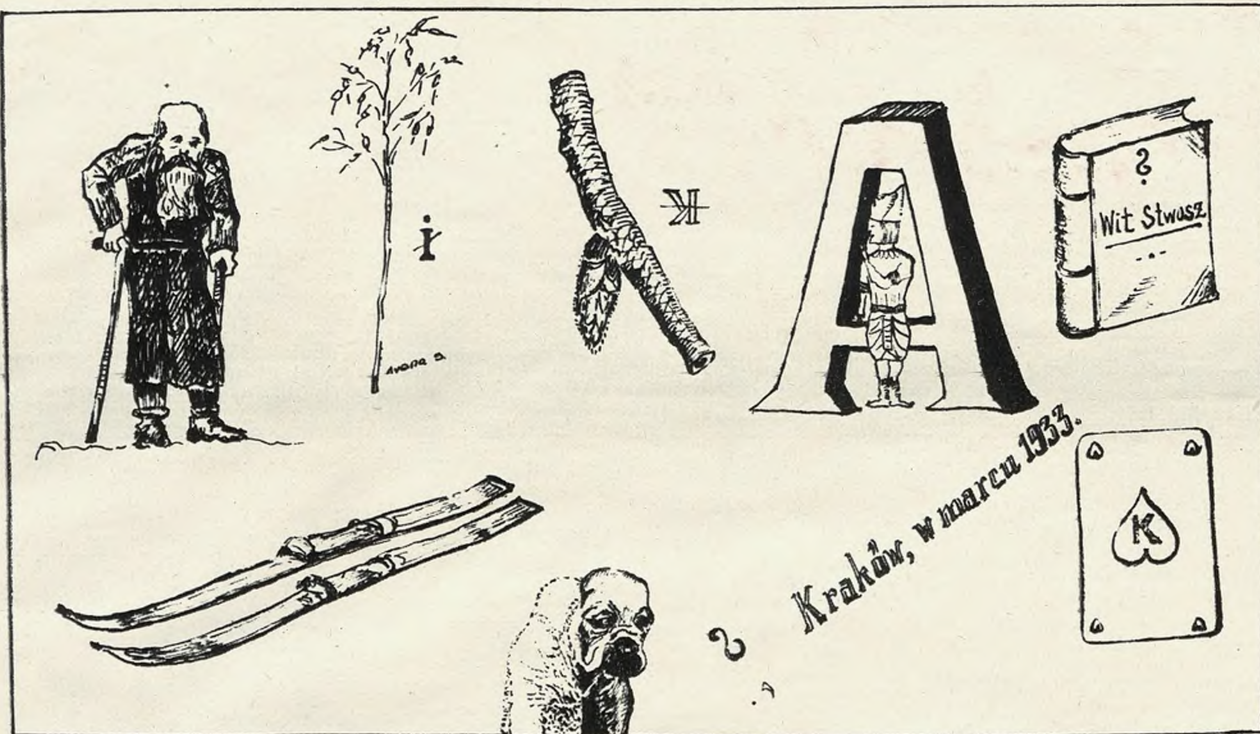
— Słyszałeś, że nasz młody liryk żeni się?
— To ma dla niego także dobre strony: jego koło czytelników podwoi się...

MAŁŻONKOWIE.

— Nie rozumiem, dlaczego nie pozwalasz swojej teściowej pisać wierszy?...
— Obawiam się, że mogłaby się stać nieśmiertelna.

REBUS.

(ul. J. Obtułowicz, Węgierska Górka).



Za rozwiązanie powyższego rebusa redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida".

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 6 maja 1933 r. wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 15.

REBUS: Rząd niemiecki dąży do grabieży drogi Polski do morza.

SZARADA: Na marginesie procesu Gorgonowej.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 15 nadesłali:

G. Bartoszewska, Poznań; W. Nowacka, Poznań; J. Maryniak, Kiszewy; **Harcerze Szkoły Handlowej, Rybnik** (zł. 20.—); J. Nowakowa, Kraków; Stan. Mikowska, Warszawa; A. Ojdana, Węgrów; St. Matuszkiewicz, Sułkowice; Wł. Stańczak, Kościerzyna; Z. Muchowska, Kościerzyna; H. Płużkówna, Bielsko; Stan. Bereza, Węgrów; M. Taras, Stryj; ppor. Zb. Jaworski, Stanisławów; ppor. M. Furtak, Stanisławów; Kaz. Czarnocka, Chotomów; „Erka", Warszawa; „Wilnianin", Dubno; K. Muchowski, Kościerzyna; „Manfred"; Stan. Nowicki, Poznań; A. Borowicz, Poznań; J. Maziarz, Ozorków; Stan. Beśka, Stołpce; Fr. Kwiatosz, Stołpce; Wł. Grzeszkiewicz, Warszawa; Lusia Tatarówna z Zabłocia; H. Wymiatałkówna, Wieliczka; „Emerytka", Wilno; Z. Pieracki, Wilno; dr. Fr. Wilczyński, Dziekanka; Zb. Makusz, Nakło; W. Makuszówna, Nakło; H. Mazanówna, Widełka; M. Mazan, Kraków; W. Ciepiela, Kraków; K. Szatan, Sułkowice; Stan. Mazan, Widełka; M. Rundowa, Bielsko; Kaz. Lilpop, Warszawa; M. Strubel, Warszawa; N. Kazimierz Kozłowski, Warszawa; D. Herbstmanówna, Warszawa; M. Mazelanik, Rybnik; Albin Kamionka, Kraków; Ign. Wołkowicki, Strzyżów; A. Krężłówna, Kraków; H. Palichowska, Kraków; **Z. Gruszkowska, Dobczyce** (zł. 10.—); J. Kudelska, Warszawa; H. Kubicka, Warszawa; plut. M. Szymko, Podbrodzie; H. Bitny-Szlachta, Sosnowiec; M. Jasińska, Warszawa; M. Wolska, Lublin; M. Marynowska, Warszawa; M. Wojtal, Kraków; Z. Bukowska, Kraków; H. Wanat, Kraków; J. Ciepielówna, Bieńczyce; J. Kaszowski, Bieńczyce; N. Andruszewicz, Warszawa; inż. J. Modrzejewski, Lublin; Jawnuta, Słonim; W. Rytko, Biała; N. Brandtowa, Konin; W. Cyganowa, Wieczysta; W. Siuta, Kołomyja; L. Jabrzemski, Warszawa; J. Ruta, Wieluń; Z. Tietz, Warszawa; Ir. Dmowska, Brześć; Z. Ślósarz, Kurozwęki; Alfr. Świtkowska, Lwów; Kaz. Mirowski, Katowice; T. Wołek, Katowice; H. Czaplina, Poznań; Stan. Adamowski, Tarnopol; J. Szymańska, Dębieńsko Stare; H. Benkówna, Cieszyn; L. Marciakówna, Jarosław; J. Bielesz, Kraków; J. Janczewski, Wilno; J. Południakówna, Kraków; Wł. Gajowa, Poznań; M. G. Suwałki; R. Dergiman, Wilno; T. Nowicka, Toruń; Stan. Koraczówna, Kraków; M. Niekraszówna, Wilno; Kaz. Kipman, Kraków; W. Piechowa, Rybnik Śl.; M. Prockówna, Rybnik Śl.; M. Uljańska, Rybnik Śl.; J. Zapiór, Kraków; A. Loeglerowa, Lwów; Kaz. Stróżak, Kraków; Ign. Krężel, Kraków; B. Ramułtowa, Jeżów; Wł. Terlecki, Lwów; Bol. Rokosz, Radom; M. Kalicka, Maków Podhalański; M. Sowiński, Warszawa; K. Puchowicz, Warszawa; Ir. Kaszubska, Biała; M. Baworowska, Sorocko; J. Biernat, Bielsko; J. Jackowski, Kalisz; Malus Eljasz, Kalisz; J. Antonowiczowa, Równe; J. Kowal, Stołpce; Mich. Wysocka, Warszawa; E. Brzozowska, Warszawa; M. Steculanka, Kalisz; Czytelnia T. S. L.; Węgierska Górka; L. Lohmanówna, Podlesie; L. Lenartowski, Poznań; A. Gajerski, Cieszanów; W. Nowicki, Warszawa; M. Remanówna, Złoczów; R. Makusch, Nakło; „Jotel", Warszawa; Tad. Cieszewski, Wilno; H. Cieszewski, Wilno; „Elce", Warszawa; W. Tyblewski, Poznań; M. Zapiór, Kraków; Sokół-Krzyworzeka, Kraków; T. Pierzchała, Bielsko; Wł. Milianowicz, Jarosław; W. Kortylewicz, Poznań; Z. Cegielska, Poznań; A. Chłostówna, Chełmno; Zb. Świerczyński, Lwów; Ks. L. Klementowski, Tarnopol; J. Obtułowicz, Węgierska Górka; W. Stribrny, Katowice; Z. Ptaszyńska, Oświęcim; Mich. Schmidt, Lwów; W. Tęczyński, Białystok; Fr. Szmidt, Dąbrowa Górnicza; Z. Baczyńska, Kałusz; dr. H. Opielińska, Środa; L. Boroński, Kraków; H. Cieślikówna, Kraków; H. Chruścielska, Łódź; E. Prockówna, Rybnik; Wł. Piotrowski, Tarnopol; J. Krasowski, Sambor; **J. Wadowski, Kowel (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31. V. 1933).**

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Harcerzy Szkoły Handlowej, Rybnik (zł. 20.—), Zofję Gruszkowską, Dobczyce (zł. 10.—) i Jana Wadowskiego, Kowel (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31. V. 1933).

Redakcja „Światowida" nagrody pieniężne prześle niebawem.

WIZYTA.



GOŚĆ: Zaraz poznałam, że to słodkie bobo należy do państwa; ma włosy mamy, nosek ojca, oczka cioci...
SŁODKIE BOBO: Aha; a spodnie starszego brata..!

ZUBOŻAŁA AMERYKA.



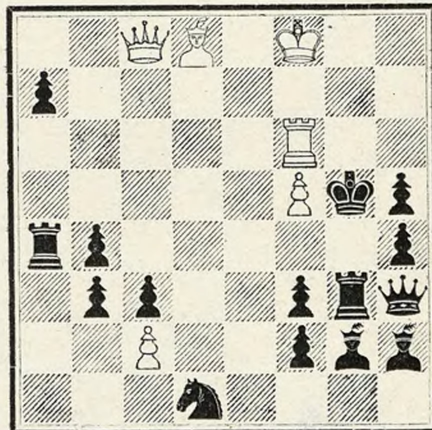
— Przypomnij sobie, Czy nie masz jakiegoś bogatego wujka w Europie...?!

DZIAŁ SZACHOWY

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

J. Scheel (II nagroda w konk. międzynar. Klubu Fiala w Taborze w r. 1932).

Czarne: Kg5, Kh3, Wa4g3, Gg2h2, Sd1, piony: a7, b4, b3, c3, f2, f4, h5 (15).



Białe: Kf8, Hc8, Wf6, Gd8, piony: c2, f5 (6).
3-chodówka. 5 + 16 = 21.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki J. Scheela:

1. H—c5. I. 1... K—f4 2. G—c7+ i 3×; **II.** 1... K—g4 2. W—f7 i 3×; **III.** 1... f1H 2. G—c7 i 3×.

PARTJA.

Białe: **Nilsson (Szwecja)** Czarne: **Alstadhein (Norwegja)**

grana korespondencyjnie w trójmeczu Danja — Szwecja — Norwegja w r. ub.

Obrona indyjska.

1. d4 S—f6	15. G×f8 H×f8
2. c4 g6	16. S—e3 G—e6
3. S—c3 G—g7	17. H—c2 H—c5
4. e4 d6	18. S—g4 S×c4
5. f4 0—0	19. G×e4 G×e4
6. S—f3 Sb—d7 **(1)**	20. 0—0—0 h5
7. G—e2 e5	21. b3 **(5)** h×g4
8. f×e5 d×e5	22. b×c4 **(6)** g×f3
9. d×e5 **(2)** S—g4	23. Wh—f1 H—e3+
10. G—g5 H—e8	24. K—b1 W—e8
11. S—d5 S×e5	25. W—d3 **(7)** H×d4
12. h3 **(3)** S×f3	26. Wd×f3 H—d4
13. g×f3 Sg—e5	27. K—c1 H—a1 + **(8)**
14. G—e7 **(4)** c6	**Białe poddały się.**

UWAGI:

(1) Bogolubow poleca 6... c5 7. d×c5 H—a5 8. G—d2 H×c5 z możliwościami różnemi dla obu stron.

(2) Bogolubow uważa 9. d5 za obalenie poprawności warjantu 6... Sb—d7.

(3) Gdyby 12. S×c7 to S×f3 13. jakkolwiek H—e5!

(4) Także i teraz po 14. S×c7 nastąpiłoby S×f3+ poczem 13... H—e5!

(5) Białe niechcą cofać skoczka na h2, wolą kontratak.

(6) Białe nie mogły czekać: 22. g×f3 ani też h×g4, gdyż po H—a3+ goniec czarny zdążyłby uciec.

(7) Jeszcze 25. H—d3! dawało pewne nadzieje. Po posunięciu w partji następuje wkrótce katastrofa.

(8) 28. K—d2 G—h6+ 29. K—d3 W—d8+ 30. K—e2 He5+ i H—h2+.

28. H—b1 G—h6+ 29. K—c2 W—e2 30. K—b3 H—d4 21. W—d3 (lub W—c1) W—b2+.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9. Tel. 551-90 i 551-91.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 18 *upoważniający do losowania nagrody*

DOLAR SPADA — LEKARZE SPIESZĄ NA RATUNEK.



Najbardziej niepokojącem wydarzeniem ostatnich dni jest gwałtowny spadek dolara, który nastąpił właśnie w momencie, gdy w Waszyngtonie zbierają się przedstawiciele największych potęg świata, w celu naradzenia się nad sposobami zażegnania kryzysu. Na zdjęciu delegat Francji b. premier Herriot w chwili odjazdu z Havru do Ameryki.